

Dziś w numerze: **Bądźmy sprawiedliwi** • **Watykan, zaborcy, sprawy Polaków** • **Obrazki z Anglii** • **Moda paryska z 1866 r.** • **Jędrusiowe piosenki** • **Angielska choroba** • **Wiersze** • **Recenzje** • **Felietony** • **Polonica**

# odgłosy



Nr 9 (371)  
6. III. 1966 r.  
10 stron  
Cena 1 zł.

**TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX**



JAN KOPROWSKI

## PANOWIE, NA KOLANA!

Polska jest krajem, w którym kobietę otaczano zawsze szczególnym kultem a w historii odgrywała ona rolę ważną i piękną. Cudzoziemcy, szukający w historii Polski specyficznych wyróżników, głosili, na przykład, tezę, że dzieje nasze zawierają przewagę pierwiastków feministycznych, czego trudno byłoby doszukać się w tym stopniu w dziejach innych narodów. Do „odkryć” cudzoziemców należy odnosić się ostrożnie, ale świadectwa cudzoziemców nie są potrzebne w sprawie, która dla nas wszystkich jasna jest i niewątpliwa. Otóż nie da się zaprzeczyć, że rola kobiety w Polsce przedstawiała się odmiennie, niż gdziekolwiek indziej. Kobiety polskie zajmowały wybitne stanowiska w polityce, życiu społecznym i towarzyskim, literaturze i sztuce. Znamienny pod tym względem był wiek dziewiętnasty. W czasie gdy literaturę rosyjską tworzyli wyłącznie pisarze, dodajmy: wybitni pisarze (Gogol, Puszkina, Lermontow, Sałtykow-Szczedrin, Dostojewski), u nas rola się od auterek, które w decydującym stopniu wpływały na rozwój polskiego piśmiennictwa i odpowiednio je modulowały.

Poczynając od poetki czasów saskich, Elżbiety Drużbańskiej, możemy wyliczyć plejadę znanych pisarek polskich, które weszły na trwałe do historii literatury narodowej, a niejedna z nich znana jest również poza granicami kraju (księżna Wirtemberska, Deotyma, Kónopnicka, Orzeszkowa). Wiek dwudziesty staje się wiekiem prawdziwej inwazji kobiet do literatury i sztuki.

Karol Irzykowski narzekał, że Polska ma nadmiar kobiet piszących, którymi można by obdzielić inne kraje, na przykład, bałkańskie, gdzie pisarek w biały dzień ze świecą szukać. Stefania Fodhorska-Okołów wydała przed wojną obszerną pracę pt. „Kobiety piszą” zawierającą m. innymi sylwetki Illakowiczówny, Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, Nałkowskiej, Dąbrowskiej, Kuncewiczowej, Kossak-Szczuckiej i Szelburg-Zarembiny. Nawet najbardziej zaciekle antifeminista musi przyznać, że są to nazwiska znakomite, przynoszące chwałę naszej kulturze. Po drugiej wojnie światowej pojawiły się nowe talenty wśród kobiet piszących, których dorobek znany jest powszechnie liczącej rzeszy czytelników.

Ale kobieta stała się w naszych czasach równorzędnym partnerem mężczyzny nie tylko na terenie sztuki i literatury. Kobiety zajmują poważne stanowiska we wszystkich dziedzinach życia. Są znakomitymi dyrektorami szpitali i fabryk, kierują biurami konstrukcyjnymi, pracują na kolei, w warsztatach naprawczych, zajmują stanowiska lekarzy-specjalistów, inżynierów, polityków, szeroki jest udział kobiet w szkolnictwie podstawowym, średnim i wyższym. Kobiety kierują handlem, pracują w redakcjach, jeżdżą z ekipami naukowymi, ba! w Polsce mamy nawet kobietę-kapitaną okrętu. Otworzyły się przed kobietami wszystkie drogi i wszystkie możliwości. Kobieta, jak twierdzą psychologowie, podchodzi bardzo poważnie do swoich zadań życiowych, jest pracownikiem sumiennym i odpowiedzialnym.

Ale mój podziw kieruje się nie tylko tam, gdzie kobieta pisze, działa, odkrywa. Sądzę, że w o wiele większym stopniu zasługują na nasz podziw (na mój — na pewno) wszystkie te ciche bohaterki dnia powszedniego. Te kobiety, które wstają o piątej rano, szykują śniadanie, niosą małe dzieci do żłobka lub przedszkola, a potem pędzą zadyszane do pracy. Myślę o tych kobietach, które po przepracowaniu iluś tam godzin w biurze czy przy maszynie, biegną do sklepu po zakupy, a potem do domu, gdzie gotują obiad, sprzątaj, piorą i wykonują tysiące drobnych czynności, by utrzymać dom na poziomie, by zapewnić sobie i swojej rodzinie odpowiednie warunki życia.

W dniu Święta Kobiet myśl nasza kieruje się ku tym, które w codziennym nie kończącym się trudzie dokonują prawdziwego bohaterstwa. Do tych wiesznie zapracowanych, zatroskanych, dla których nawet niedziela nie staje się dniem wypoczynku. Nie wiem, czy wszyscy zdają sobie dostatecznie sprawę z tego, że wspaniałe równouprawnienie przydało kobiecie nowych obowiązków, ale nie odebrało dawnych. Kobieta pracuje zawodowo, ale pracuje także w domu. Blaski emancypacji kryją w sobie również jej cienie: nadmiar obowiązków. To, co powiem, zabrzmi dla niektórych żartobliwie, lecz ja myślę jak najbardziej poważnie. Otóż Dzień Kobiet winien być wykorzystany dla wzmożonego uświadamiania mężczyzny, czym jest codzienne życie kobiety. Do was się zwracam, panowie, którzy po pracy kładziecie się na tapczanie i czytacie gazetę, którzy gracie z przyjaciółmi w brydża, którzy idziecie na kieliszek wódki (lub na kefir do baru mlecznego), byście zechcieli rozejrzeć się po najbliższym otoczeniu. Zobaczcie jak żyją wasze matki, żony, siostry. Ile ogromnego wysiłku wkładają w tę szczyfową, nie kończącą się pracę, jaką jest utrzymanie domu. Cokolwiek zrobicie, jeszcze nie zdołacie się wypłacić. Powinienem właściwie powiedzieć: cokolwiek zrobimy, nie zdołamy się wypłacić, bo dotyczy to w równym stopniu nas wszystkich.

Na co dzień troska i pomoc, udział we wspólnych radościach i kłopotach, zrozumienie i życzliwość dla niewymierzonego trudu, dla niespożytej energii kobiety. Na święto — kwiaty. A ósmego marca — na kolana, panowie!

Na imprezie zorganizowanej w grudniu z okazji 20-lecia Ligi Kobiet jedna z delegatek, mówiąc o udziale mężczyzn w pracach domowych, powiedziała: „Na tym odcinku notujemy duże osiągnięcia. Coraz częściej widzimy mężów z wózkami dziecięcymi i z siatkami pełnymi zakupów, to są już powszechne zjawiska. Widzimy dużo mężczyzn, którzy palą w piecach, zmywają, gotują”.

Powyższy wywód był wyrazem troski prelegentki o realizację zasady równouprawnienia kobiet, wydaje się jednak, że zawiera cechy tzw. „przegięcia pały”, które na ogół nie

sprzyja urzeczywistnianiu jakiegokolwiek sensownych zasad. Nie spieramy się o siatki z zakupami, palenie w piecach czy zmywanie. Pewne wątpliwości budzi już mąż jako twórca domowych posiłków. Gdyby zaś ktoś twierdził, że dla niemowlęcia z opisanego wyżej wózka dziecięcego jest ideałem opiekę ojca a nie matki, to kogoś takiego należałoby co najmniej wciągnąć na listę proskrypcyjną Towarzystwa Przyjaciół Dzieci i Ligi Kobiet.

Problem jest problemem i prawdopodobnie długo nim pozostanie z kilku powodów. 1° — istnieje tradycja wiązania kobiety z domem, tradycja odświeżana milio-

Dalszy ciąg na str. 4

IERZY URBANKIEWICZ

**MIASTO  
CICHYCH  
BOHATEREK**



Syria, Ghana... Osiem przewrotów w ciągu czterech miesięcy. Prawdziwa seria. Jest w tej serii także swoisty rekord: dziewiętnasty zamach stanu od roku 1949 w Syrii. O ostatnim trudno jeszcze powiedzieć cokolwiek pewnego. Wszystkie wskazują na to, że ma on uniemożliwić zbliżenie z Egiptem, do czego obalone kierownictwo wykazało pełną skłonność. Jest on wynikiem ścierania się koncepcji politycznych, walki między zwolennikami umiędzynarodowienia (w ścieżce arabskim) rządzącej od 1963 r. w Syrii partii BAAS, a rządnikami jej narodowego charakteru. Jest to więc rozgrywka wewnętrzna — między dwoma odłamami tej samej partii.

Zgoda inaczej przedstawia się sytuacja w Ghanie. Ten przewrót, w wyniku którego armia i policja przejęły władzę i to w momencie, gdy przez Nkrumah przebiegał w Pekinie, jest przewrotem zdecydowanie prawidłowym. Zamachowcy rozwiązali parlament i Ludową Partię Konwentu i natychmiast przystąpili do burzenia wszytkiego, co z takim trudem budował Nkrumah.

Jego polityka: walki z imperializmem i kolonializmem, jedności Afryki i niekapitałistycznego rozwoju kraju, budziła niezadowolone prawicy ghańskiej. Wielka obniżka cen na kakao, które jest głównym bogactwem kraju, spowodowała trudności finansowe i gospodarcze Ghany. Ten właśnie moment wykorzystali zamocniejsi warstwy burżuazji, ograniczeni w prawach przez Nkrumaha wodzowie plemienni i część wojska.

Z przewrotu ghańskiego nie ukrywa swego zadowolenia np. prasa brytyjska. Ośrodki neokolonialistyczne zacierają ręce, że odsunięty został od władzy człowiek, którego określano jako „proroka panafrykanizmu” i przywódcę, chcącego uczynić z Ghany „państwo-pilota” dla całej Afryki.

Jaki by nie był dalszy bieg wypadków, (Nkrumah zapowiada rychły powrót), jedno jest pewne: nazwisko Nkrumaha, który przez osiem lat prowadził Ghane, pozostanie na zawsze symbolem dążenia do niepodległości afrykańskiej.

Zanim przemieścimy się do Europy — jeszcze kilkanaście słów o wydarzeniach w Indonezji.

Oburzający wyrok śmierci na jednego z przywódców Komunistycznej Partii Indonezji — Njonor, proces Ununga i odsunięcie od wpływu na armię głównego „bohatera” krwawych rozpraw z komunistami, gen. Nasutiona — znów zwróciły uwagę na Indonezję.

Komentatorzy zagraniczni jednomyślnie odnotowują wzrost wpływu Sukarno, który w ich przekonaniu okazał się „mistrzem taktyki”. W momencie skazania wybitnego komunisty podjął bowiem decyzję o usunięciu najbardziej zdeklarowanego ich przeciwnika. Ma to świadczyć o chęci „utrzymania równowagi”. Ma

to być również — jak donoszą agencje — „próbą okazania 105 mln Indonezyjczyków, że Sukarno jest jedynym przywódcą kraju i nie ścierpi żadnej innej władzy”.

Sam Sukarno zaś, komentując rekonstrukcję rządu, oświadczył po prostu: „musi on być dostosowany do tego kierunku, jaki obecnie obiera rewolucja indonezyjska”.

Dalszy bieg wydarzeń w Indonezji będziemy oczywiście obserwować z największym zainteresowaniem.

W kolejności, by omówić chociażby tylko najważniejsze wydarzenia ostatnich dni, a było ich wiele, trzeba przenieść się do Moskwy. Przebywał tam z oficjalną wizytą premier W. Brytanii — Wilson.

Jak trafnie przewidywaliśmy w poprzednim komentarzu, głównymi tematami rozmów były: Wietnam, zakaz rozpowszechniania broni jądrowej i stosunki bilateralne.

Komunikat końcowy określa spotkanie jako „pozytywne i konstruktywne” oraz informuje o przyjęciu przez prem. Kosyginę zaproszenia do odwiedzenia W. Brytanii.

Warto na marginesie tej wizyty zwrócić uwagę na bardzo żywo oceniany przez publicystów zachodnich następujący fakt: towarzyszący premierowi W. Brytanii lord Chalfont, na prośbę strony brytyjskiej, spotkał się z chargé d'affaires DRW w Moskwie. W czasie tego spotkania Chalfont zwrócił się z prośbą o wyjaśnienie niektórych punktów pisma Ho Chi-minha do szefów rządów, a chargé d'affaires obiecał prośbę tę spełnić.

Niektórzy komentatorzy dopatrują się w tym „pierwszych posunięć w kierunku nawiązania rozmów o Wietnamie”.

Chciałbym przestrzec przed przecenianiem tego faktu. Nie ma przecież żadnych oznak, że Stany Zjednoczone gotowe są do podjęcia takich negocjacji z poszanowaniem walki narodowo-wyzwoleńczej południowych Wietnamczyków. Przypadałoby jednak, że sam fakt kontaktu zasługuje na uwagę.

I wreszcie — trzynasta w kolejności, a pierwsza w nowej kadencji konferencja prasowa prez. de Gaulle'a. Nie podejmując obszernej tematyki, która interesowała dziennikarzy, a którą wyjął general, trzeba przecież podkreślić, co powiedział prezydent Francji o NATO.

Nie kwestionując zasad sojuszu, de Gaulle stwierdził, że w sposób zasadniczy zmieniła się sytuacja od momentu powstania NATO i dziś istnieje niezbędnebezpieczeństwo uciążliwa przy pomocy tego paktu krajów do konfliktów, w których zaangażowana jest Ameryka, a w których one nie chcą być brać udziału. Francja sama chce zdecydować o swoim losie, co „jest nie do pogodzenia z istnieniem organizacji obrony”.

Słowa de Gaulle'a nt. NATO odczytane zostały w Waszyngtonie jako „wyproszenie sojuszników” z terytorium Francji, w Bonn zaś — jako „pogwałcenie układu Paryż — Bonn”. W związku z tym, że prezydent Francji integrację sił wojskowych chce zastąpić układami dwustronnymi, nie brak i takich, którzy zastanawiają się, czy aby de Gaulle nie chce czasem rozmawiać o takim układzie w Moskwie.

Trudno więc nawet dziwić się, że w świecie zachodnim wrze...

W. SŁAWSKI

# TKRONIKA TYGODNIA

W rozmowie z przedstawicielami indonezyjskich kół gospodarczych, jaka odbywała się wkrótce po oznajmieniu przez prezydenta Sukarno o rekonstrukcji gabinetu, szef państwa Indonezji oznajmił, iż nosi się z zamiarem odsłonięcia w Brianie Zachodnim pomnika ku czci komunistów, którzy polegali w walce o odzyskanie tego terytorium indonezyjskiego.

Dziennik „Zemminzipao” wezwał pisarzy chińskich do

lub wzajemnej pomocy ze Związkiem Radzieckim.

Policja Chicago postano wila dokonywać systematycznych rewizji wśród uczniów szkół średnich poszukując pistoletów i noży. Ponad 45 szkół objęto stałym nadzorem policyjnym. Powód owych przedsięwzięć: poważny wzrost przestępczości wśród szkolnej młodzieży.

W prasie ChRL ukazał się artykuł analizujący historię



Humphrey — Jak się Pani powodzi? Przyjeżdżam tu jako przedstawiciel wielkiego społeczeństwa. (New York Herald Tribune)

dlugotrwałego pobytu na wsi w celu poznania psychologii chłopstwa i jego ducha rewolucyjnego. W chwili obecnej w fabrykach, kopalniach, gospodarstwach rolnych i w wojsku przebywa 160 tysięcy pisarzy i artystów.

Powodem poważnego fraksunku Amerykanów w Południowym Wietnamie jest nasilające się zjawisko dezercji z reżimowej armii. W 1965 roku ponad 115 tysięcy Wietnamczyków, a więc ponad połowę stanu zaangażowanego w brudnej wojnie amerykańskiego korpusu ekspedycyjnego, uciekło z wojska i milicji. Liczba dezercerów z jednostek bojowych w 1965 roku podwoiła się w stosunku do roku 1964.

W związku z ostatnią konferencją prasową prezydenta Francji de Gaulle'a, w czasie której wypowiedział się on za stopniowym wycofaniem Francji z NATO, kół polityczne Bonn nie wykluczają możliwości zawarcia przez Francję traktatu o nieagresji

światowego ruchu robotniczego na przestrzeni od lat czterdziestych XIX wieku do chwili obecnej. W publikacji wymieniana są trzy kolejne etapy rozwojowe ruchu robotniczego: etap pierwszy, do końca XIX wieku, nazwany epoką proletariacką. Teorię tego okresu stworzył Marks i Engels; etap drugi, etap zwycięstwa rewolucji proletariackiej w jednym kraju. Teoretykami i przywódcami ruchu robotniczego w tym okresie byli Lenin i Stalin; etap trzeci, współczesny, datujący się od początków lat pięćdziesiątych. Jest to epoka walki o zwycięstwo rewolucji w całym świecie, klęski kapitalizmu i jego wszelkich odłamów. Teoretykiem tej epoki jest Mao Tse-tung.

Władze egipskiego miasteczka Abuchamat ofiarowały tygodniowy, bezpłatny urlop jednemu z cenionych urzędników magistratu pod warunkiem, że... na rok rzuci palenisko.

Amerykańscy komentato-

argumentów i osobistego przykładu.

Na zlecenie francuskiego tygodnika „Nouvelle Observateur” francuski Instytut Badania Opinii Publicznej przeprowadził ankietę na temat zapatrywań Francuzów na świat socjalistyczny i FPK. 48 proc. biorących udział w ankiecie przewiduje, iż w ciągu najbliższych 10 lat może dojść we Francji do utworzenia rządu z udziałem komunistów. Komentując wyniki powyższej ankiety tygodnik pisze, iż charakterystycznymi cechami rozwoju opinii publicznej są: większa życzliwość wobec ZSRR, wyraźna odmowa w stosunku do FPK oraz coraz pozytywniejsze nastawienie socjalistów i radykałów wobec jedności działania z komunistami.

W radzieckim miesięczniku „Młody komunist” ukazało się wspomnienie asa wywiadu radzieckiego Rudolfa Abła, aresztowanego w USA w 1957 roku, następnie zaś wymienionego na lotnisku Powersa w 1962 roku. Abel pisze o okolicznościach aresztowania go przez sześciu agentów FBI w jednym z nowojorskich hoteli, w momencie, gdy znajdował się przy nim szafir i tekst ostatniego raportu radiowego. Zniwelowanie kompromitujących dokumentów „nie było rzeczą trudną” — pisze Abel. Zaciągnął w dół szafir i powiedziałem, że przagnąłbym pójść do toalety. Tam, mimo towarzysstwa jednego z agentów, bez trudu udało mi się pozbyć zarówno szafiru jak i radiogramu”. Enuncjacja Abła o okolicznościach zniszczenia dokumentu — pisze Newsweek — spotkały się z nad wyraz chłodnym przyjęciem waszyngtońskiej centrali FBI.

Z prorokami ze stycznia należy porozmawiać w grudniu

PAUL HENRI SPAEK

Nawiązując do wrogiej wobec Związku Radzieckiego kampanii prasy burżuazyjnej, w związku z procesem i skazaniem Siniawskiego i Daniela, radziecki dziennik „Prawda” pisze, iż kampania ta zdezorientowała na Zachodzie pewnych uczywych ludzi, którzy „nie dysponując najdokładniej odpowiednimi informacjami zaczęli nagłe szukać w rozprawie przeciwko dwóm wrogom ZSRR jakiegoś ukrytego sensu: czy nie stawia to pod znakiem zapytania rozwój demokracji w ZSRR? Czy nie należy przypuszczać, że w Kraju Rad gwałci się swobodę twórczości?” „Siniawski i Daniel — pisze dziennik — stanęli przed sądem bynajmniej nie

## NASI ZA GRANICĄ

Polak, któremu udaje się opuścić rodzinny kraj na jakiś czas, zawsze był u nas podziwiany. W żadnej szkole średniej profesor nie zapomniał powiedzieć, że jeden Kochanowski, kilku Zamojskich, jeden Arceizewski i kilku Ossolińskich studiowało za granicą w swoich specjalnościach. Ani o podróży Niemcewicza, Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego.

Nasza XIX-wieczna literatura pozostawiła nam wzór Polaka jeżdżącego po kulturze do Paryża i wzór Polki spotykającej się z eleganckim szwagrem w wód. Przy tej okazji utrwaliła się w literaturze postać służącego, zachwyconego bezbródką i rozmachem pana. W humoreskach, ramotkach i wedywiliach służący mówi: ru szenuar, rje niewaplut i już forsa naszego pana pozostaje na wieki wieków w Montekarolo, amen!

Zachwyt dla szerokiego gestu, isticie polskiej nonszalancji, niezwykłej lekkości w rzucaniu polską forszą po Francjach, słonecznych Italiach, posępnych Angliach, czy uroczych Wiedniach, o tyle był uzasadniony, że odpowiadał prawdzie. Polakowi z tamtych lat nie przychodziło na myśl, że można zachwycać się Capri, Neapolem, Louvrem, czy Krymem — za darmo. Zagranica kosztuje, na to nie ma rady!

Tak to bywało za kapitalizmu, a teraz jest inaczej. Polak uważa, że owszem, kosztuje pobyt na Mazurach, w Sopocie, Zakopanem i Szklarskiej, natomiast zagranica kosztować nie może. I nie kosztuje. Pewna ekspedientka z MHD, zwykła ekspedientka, a nie Zygmunt Podfilipski, w ciągu jednego roku jedenaście razy wyjeżdżała za granicę. Za co? Za te półtora tysiąca pensji? Nie, proszę państwa, to Zamojski z Kochanowskim placili za swoje wojaże, współczesna ekspedientka na tych wyjazdach zarabiała. I pan magister i młode małżeństwo, i rutynowany działacz społeczny, i pan mecenas, a zwłaszcza jego żona i pielęgniarzka — wszyscy zarabiali na wyjazdach za granicę. U nas Bukareszt, czy Berlin nie nie kosztuje, u nas się płaci za Spalę i Hajnowkę.

Nie dziwnego, że w tej sytuacji wyjazdy za granicę stają się powoli nowym zwodem. Z czego pan żyje? Z wycieczek za granicę. A pani? Gdyby nie Krym, Moskwa, Budapeszt, Paryż, Sofia czy Belgrad — umarłabym z głodu.

Możemy więc powiedzieć, że współczesny nasz turysta nie idzie śladami szlacheckiego utracjusza, ponieważ nie sprzedaje w pacht majątku, przeciwnie —

on przywozi złoło, futra, srebrne żyłki, koronki, maszynki do golenia, kołnierze i czego tylko komuś zapragnie.

Tako to wygląda z pozoru. Główny Urząd Celný ogłosił niedawno, że w roku 1962 trzeba było wytoczyć sprawy o łamanie przepisów celnych — 5.546 turystom. W roku 1963 takich turystów mieliśmy już 6.100, w 1964 — 7.319, w roku 1965 — 8.729. A więc krzywa rośnie aż miło. I o cóż tym patriotom wyłaża się sprawa? Pewna panna z dobrego domu przemyciła na Węgry 20 tysięcy złotych, pewne młode małżeństwo kilkanaście tysięcy, pewien nauczyciel także kilkanaście tysięcy. Mł zwrótu kosztów podróży do Paryża działa tak silnie, że skromne matki dzieciom zapożyczają się w nadziei, że wróca bogatsze chociażby z Pragi czeskiej. Bywają ludzie, którzy latami składają na takie moskwiewskie, czy berlińskie eldorado, bywa i tak, że jakaś wspólna klatka schodowa, czy wspólne pietro składa się na bohatera, który wyrusza do Bulgarii po złote runo. Tymczasem rzecz kończy się smutno, pasażer dostaje wilezy bileć i nieprędko będzie mógł wyruszyć ponownie w poszukiwaniu wielkiej przygody.

Krzywa więc rośnie, a z nią rosna i strata. U schyłku XVIII i XIX wieku Polacy mieli lepszą opinię, jako ludzie walki, którzy nie chcieli się pogodzić z utratą honoru. Dziś coraz częściej ratujemy honor przed hotelem „Ambasador” przy głównej ulicy Bukaresztu, w pasażach handlowych Lipska, w hotelach turystycznych wielu miast Europy, jako ludzie interesu, którzy nie chcą się pogodzić z myślą, że za pobyt za granicą trzeba płacić. Polak nie zwiedza, lecz zarabiał, nie ogląda, lecz sprzedaje i w gruncie rzeczy nie wzbogaca kraju, lecz go okrada. W styczniu bieżącego roku nielegalny obrociek, ten — oczywiście — wykryły, oszacowano na 1,5 miliona złotych. Rocznie daje to 18 milionów złotych. Ale to nieprawda, ponieważ krzywa szybko rośnie i nie wszystkie przekroczenia są wykrywane. Na razie nie zagląda się jeszcze zbyt często w co sekretniejsze części garderoby. A jak się zajrzy — stwierdzimy prawdziwe rewelacje, o czym nie omieszkamy wspomnieć.

Wierbażarski



— Chwileczkę, Panie Wilson — on mówi właśnie o Wietnamie.

(Die Welt)

rzy polityczni uważają, iż ostatnie wystąpienie Roberta Kennedy'ego, w którym wypowiedział się za przyznaniem FWN Wietnamu Południowego prawa zasiadania w rządzie koalicyjnym, wbrew obecnemu amerykańskiemu administracji amerykańskiej, oznaczać może początek rozgrywek o fotel prezydencki w 1972 roku, albo nawet już w 1968 roku.

Jugosłowiańskie czasopismo „Komunist” pisze w artykule wstępnym, iż wahania ideologiczne i opór niektórych członków ZKJ wobec realizowanej reformy gospodarczej mają swe źródła między innymi w uproszczonym pojmowaniu socjalizmu, w przekonaniu, że administracyjne zagwarantowanie „porządku” jest lepsze niż skomplikowany mechanizm samorządu wobec którego szczególnie nie pewnie czują się rutyniarze i zwolennicy wąskiego praktycyzmu, którzy wolałby rozkazywać niż przekonywać i którym łatwiej stosować autorytet władzy niż autorytet

jako pisarze, lecz jako ludzie którzy dokonali przestępstw przeciwko ustrojowi radzieckiemu.”

Ambasada radziecka w Waszyngtonie i amerykańska w Moskwie uzyskały z dniem 1 lutego br. bezpośrednie po-

Kogo ominęły szaleństwa w młodości, nie odrobi ich największą mądrością późnego wieku.

BERTRAND RUSSELL

łączenia telegraficzne ze swymi stolicami, według systemu Telex, Czas łączenia abonentów skrócono do kilku zaledwie minut. Wydużony nadmierne czas oczekiwania na połączenie w starym systemie łączności, dochodzący niejednokrotnie do 4 godzin, powodował, iż rady obu państw dowiadywały się o interesujących je wydarzenia wcześniej, z doniesień agencji prasowych, aniżeli z raportów własnych ambasad.

ZOFIA LORENTZ

# BADZMY SPRAWIE DŁIWI

REPORTAŻ Z ZAKŁADU POPRAWCZEGO W IGNACIEWIE

Stosowanie surowych kar na młodocianych, jakich żąda dziś poważna część naszego społeczeństwa, nie jest niezłym nowym ani odkrywczym. W rodzimej historii mamy wprawdzie tylko materiały dotyczące zmiennych dziejów pierwszego w Polsce i długi czas jedyne Do- mu Poprawczego w Studzieniu (rok założenia 1871), ale na przykład w Anglii uchowały się ponoć akta sądowe, z których możemy się dowiedzieć, że w jednym tylko roku 1780 wykonano dwieście wyroków śmierci na nieletnich za zupełnie blache przewinienia, a w roku 1629 powieszono nawet ośmiolatek dziecko za wzniesienie pożaru dwóch stodół.

Od dłuższego czasu szukam odpowiedzi na dręczące mnie pytanie, skąd się bierze w człowieku kulturalnym ten pierwiastek bezwzględ- nego potępienia i pasja karania. Przecież większość ludzi potrafi współczuć i pomagać dzieciom kalekim i chorym, czemu w stosun- ku do dzieci moralnie zaniedbanych, a więc wcale nie mniej nieszcze- śliwych, nie odczuwają tego same- go?

Potwierdzenie moich wątpliwości znalazłam u dyrektora jednego z zakładów wychowawczych w Łodzi, mgr. Góreckiego, który powiedział na którymś z zebrań poświęconych sprawom młodzieży, że: „jednym z pierwszych warunków powodzenia akcji zapobiegania przestępczości nie letnich jest konieczność przelama- nia istniejącej wśród społeczeństwa, a niestety także i wśród nauczyciel- stwa, tendencji do obwiniania i ka- rania dzieci trudnych wychowaw- czo”. Dziecko przestępcze lub trud- ne wychowawczo wywołuje w nas istotnie więcej wrogości niż współ- uczucia. Pragniemy je karać, i jesz- cze raz karać, gdyż zdaje się nam że jest przestępca, bo za mało było bity. A tymczasem, bardziej jest prawdopodobne, że je kara- no raczej za często niż za rzadko. Tak więc wrogość i irytacja, jaka wzbudza w nas te dzieci, prze- słania nam zrozumienie ich trud- ności a jakże często i tragedii, któ- rych sprawcami są najczęściej — dorośli.

Przestępczość nieletnich jest w dalszym ciągu na ustach wszystkich. Narzekanie na chuligańska mło- dzież weszło nam już w przyzwy- czenie. Co prawda nie dlatego, by z dnia na dzień wzrastało — (bo tak nie jest), lecz z tej prostej przy- czyny, że przywykliśmy się ekscy- tować każdym zasłyszonym lub na własne oczy widzianym wypadkiem, przywykliśmy każdy wypadek uogólniać i wyolbrzymiać. Tysiące dorosłych ludzi, nie zmuszanych do tego niedzą ani jakimiś tragicznymi okolicznościami popełnia najrozmai- sze przestępstwa. Winy ich dostają się do prasy w formie bagatelnej, nikogo nie szokującej. W kręgu znajomych czy kolegów likwiduje się nawet milionowe kradzieże żar- tobliwym: „no, cóż, wpadł, bieda- czyn”. Ale niech tylko przydarzy się coś młodocianym, trąbi się o tym z triumfem: „widzicie, znowu coś zmalowali”.

Proszę państwa, badźmy sprawie- dliwi! Dopraszam się więcej samo- krytyki w ocenie spraw nieletnich! Przecież już w połowie ubie- głego stulecia odbywały się między- narodowe kongresy ludzi nauki, którzy założeniem karania prób- wali przeciwstawić założenie wy- chowywania. Ludzie ci byli pionie- rami myśli rehabilitacyjnej. Kon- gres w Londynie w r. 1872 sta- je się hasłem do oficjalnej współpracy w tym zakresie. Konferencja w Sztokholmie w 1885 wyłania już stałą komisję międzynarodową do spraw ustawodawstwa karnego i więziennictwa ze specjalnym uwzglę- dnieniem problemu dzieci i młodzie- ży. Wreszcie, już w roku 1933 no- wy kongres, tym razem w Palermo, obraduje pod hasłem „Surowe kary znamienują słabość społeczeństwa”, a reprezentant Polski prof. Stefan Glaser wzywa do stosowania pro- filaktyki społecznej w odniesieniu do dzieci i młodzieży.

Ale po co ten długi wstęp, skoro zamówienie redakcji „Odgłosów” sugerowało mi tylko napisanie re- portażu o Domu Poprawczym w Ignaciewie? Chyba po to, aby uprze- dzić czytelnika, że otrzymawszy specjalne zezwolenie Ministerstwa Sprawiedliwości na odwiedzenie Ignaciewa, nie wybrałam się tam w celu wyszerzania błędów organiza- cyjnych czy metodycznych tego no- wego zakładu, ani gwoli zdobycia

jakichś sensacyjnych szczegółów z przestępczego życia jego wychowan- ków, lecz po prostu, by obejrzeć z bliska jeden z tego rodzaju do- mów wychowawczych — w ruchu. A jeszcze i po to, aby dostarczyć nieco materiału do rozmyślań nad tą trudną i bolesną sprawą tym (a jakże ich jest wielu), którzy nie mając żadnego rozeznania w pra- cach nad zwalczaniem przestępczo- ci nieletnich, wydają z góry wy- roki potępienia tej akcji, nazywając ją nawet czasami „gorsząca zaba- wa”. („Słyszałam, moja pani, że te łobuzy w tych ich domach popraw- czych mają pastowane podłogi i kwiatki w sypialniach”).

Zacznę od paru podstawowych wiadomości orientacyjnych: urucho- mienie zakładu ignacewskiego na- stąpiło w połowie 1964 roku. Jego odmiennosć polega na tym, że w tym samym budynku i pod jedną dyrekcją umieszczono zakład pop- rawczy i schronisko. Różnica mię- dzy jednym a drugim — pozornie niewielka: ci w schronisku, to chłop- cy przed wyrokiem, w zakładzie — po wyroku — w swej treści jednak- jakże ogromna! Hościowy stosunek jednych do drugich: pięćdziesiąciu w schronisku, stu — w zakładzie. Izb lekcyjnych — cztery, klas —

łów naukowych członków Rady Nau- kowej, które na pewno świadczą o bezsprzecznej ich kompetencji, waż- niejszy wydaje mi się tu krótki komentarz, a mianowicie, że ludzie ci są właśnie tymi, którzy wierzą w możliwość zmiany postawy ży- ciowej u młodocianych przestępców zmiany, jaka dokonać się może pod wpływem naukowych metod wycho- wawczych, stosowanych przez wy- chowawców, posiadających specjal- ne wykształcenie psychologiczno-pe- dagogiczne, zamilowanych w poszu- kiwaniu twórczych rozwiązań proble- mu młodzieży niedostosowanej. To są ci, którzy wierzą, że podoga wyfroterowana własnymi rekoma wychowanków i kwiaty w sypial- niach, pielegnowane przez nich sa- mych, oddziaływują dodatnio na skomplikowaną psychikę nastolat- ków.

Ale przechodząc do dalszych in- formacji: zakład poprawczy w Ignaciewie nie jest zakładem zam- kniętym w dosłownym tego sło- wa znaczeniu, nie ma tu bowiem krat w oknach, a bramy zamyka się tylko na noc. Istnieje więc w każ- dej chwili możliwość ucieczki.

Ktoś, kto kiedykolwiek interesow- ał się domami poprawczymi wie, że ich najcięższą plagą były (i są

zakład poprawczy, o ile nie są do- głębnie zdemoralizowani, po dłuż- szym czasie przebywania w zakła- dzie, zaczynają rozumieć, że daje im się tu szansę zdobycia zawodu i uciekają rzadziej. Wiedza też, sko- sztowawszy już raz ucieczki, że i tak niedługo pozostaną na wolności, a po powrocie będą się musieli pod- dać obstrzonemu rygorowi. Nie- gdyś za ucieczkę z domu popraw- czego karano chłosta, która odnosiła wręcz odwrotny skutek, budząc nie- nawieść do wychowawców. Dzisiaj uciekinier karany bywa przeważnie odsadzeniem na jakiś czas w izolac- ce.

Na ogół w wielu zakładach pop- rawczych stosowany jest jeszcze system „progresji”. Polega on na tym, że każdy z wychowanków w nagrodę za coraz lepsze zachowy- wanie się w zakładzie może być przesuwany do wyższej grupy, z czego wynikałoby, że właściwe za- chowanie się świadczy o poprawie. Ostatnio metoda ta jest atakowana przez naukowców, którzy twierdzą, że poprawne zachowanie może pły- nać z czystego wyrachowania i nie mieć nic wspólnego z faktycznym procesem reedukacji.

Zakład w Ignaciewie odszedł od dotychczasowego systemu progresji

stych, wreszcie prawa noszenia dłu- gich włosów i normalnego obuwia (obowiązują drewniaki). Nawiasem mówiąc te dwa ostatnie rygory oce- niane są przez chłopców jako naj- dotkliwsze najpewniej dlatego, że stanowią swego rodzaju napiętnowa- nie, rzucające się w oczy każdemu. Poza tymi wszystkimi „zakazami”, (czy nie jest ich przypadkiem za- wiele?) grupa specjalna obowiązuje codzienne obieranie ziemniaków dla całego zakładu. Obowiązuje jednak przede wszystkim prowadzenie ze- szytu kontrolnego, w którym wy- chowawcy odnotowują codzienne zachowanie się wychowanka, stosu- jąc system punktowania.

A oto jak dwaj domorośli poeci zakładowi: Andrzej M. i Jan B. zinterpretowali na swój sposób po- dany im do wiadomości regulamin:

### „GRUPA S”

But z „podłoga”, goła glaca  
To specjalność grupy „S”,  
Nie chcesz wierzyć, to zapytaj  
sam kolegów jak tam jest.  
Co dzień mają „obieranie”  
Zakaz widzeń także jest,  
Rozrywki są wstrzymane  
Wyjść na teren zakaz też.  
Bo to, chłopie, jest specjalna  
Grupa karna, niby „S”.  
Więc ja wszystkich was  
przestrzegam  
lepiej dobrym chłopcem być  
niż na grupę tę „specjalną”  
z łzami w oczach prosto iść.

Odnoszę wrażenie, że zespół pe- dagogiczno-wychowawczy zakładu w Ignaciewie jest zaangażowany w tej próbiej formie ukroczenia swych wychowanków na terenie własnego zakładu. Oczywiście, przedwczesne byłoby jakiegokolwiek wyrokowanie o skuteczności czy bezskuteczności tego eksperymentu, skoro zaledwie poczęto go wcielać w życie.

Czy połączenie dwóch zakładów (schroniska z domem poprawczym) pod tą samą dyrekcją i w jednym budynku, traktowane jako ekspery- ment zdaje egzamin? Chyba nie, i to zarówno od strony psychologicz- nej jak i systematyki nauczania: kontakty chłopców ze schroniska, często nowicjusów na drodze przez stepstwa, względnie zatrzymanych za blache sprawy, z wychowankami domu poprawczego, najczęściej star- szymi wiekiem i doświadczeniem przestępczym, na pewno nie są wskazane, a przepływowość uczniów schroniska w zestawieniu z elemen- tem stałym domu poprawczego wro- wadza zamieszanie i utrudnia nau- czycielom przestrzeganie normalne- go programu szkolnego.

Także dwoistość funkcji dyrekto- ra i kierownika w jednej osobie na pewno sprawiła mu niemałą trudność. Ciągłe przestawianie się psychiczne z roli dyrektora zakła- du poprawczego do roli kierownika schroniska, jest chyba niesłychanie męczące, wymaga bowiem ciągłego napięcia, uwagi i samokontroli.

Jak widać z tego wszystkiego pra- ca w tego typu zakładach nie jest łatwa ani przyjemna, ani wdziecz- na. Czasami zaś bywa wręcz nie- bezpieczna, a zawsze szarpiąca ner- wy i wyczerpująca. I chyba dlatego najstarsza strona idei zwalczania przestępczości nieletnich poprzez reedukację, jest brak odpowiednich kadr wychowawczo-pedagogicznych.

Choćby obecnie zalecane nauko- we metody reedukacji młodocianych nie odbiegają daleko od metod z po- wodzeniem stosowanych przez Ma- karenkę — samo zagadnienie jest nadal zagadnieniem spornym. Po- dobno istnieje nawet w tej materii przerost najrozmaitszych punktów widzenia i teorii, a co dopiero mó- wić o indywidualnych poglądach ty- sięcy obywateli, którzy zabierają tak chętnie głos w sprawie tzw. trudnej młodzieży.

Wśród tego chaosu przeważa jed- nak optymistyczny pogląd o możli- wości reedukacji młodzieży niedo- stosowanej a nawet już przestę- pczej przez wychowawców oddanych bez reszty tej idei, którzy kierowal- by się metodą zrozumienia psychi- ki młodocianych wykołkońców i źródeł jej wykrzywienia; metoda przekreślania ich przeszłości, a udzielania pomocy w rozpoczęciu życia od nowa; metoda obalenia przekonania, że wszyscy są prze- ciwko nim; wzbudzenia zaufania do bezstronnego osądu i wiary w to, że nie wszyscy ludzie są źli. A jeszcze metoda rozbudzania zdro- wych ambicji i inicjatywy oraz po- wierzenia odpowiedzialnych zadań, jak również okazywania zaufania i wiary w sprośtanie im. Tylko że ta metoda prócz ideowości wymaga jeszcze od takiego idealnego wy- chowawcy doskonałego opanowania, ogromnej cierpliwości i umiejęt- ności utrzymania swego autorytetu w każdej zaskakującej go okoliczności. A gdzież takich znaleźć i to tyłu, by wypełnili pustę, choć formalnie obsadzone miejsca w naszych dzie- więtnastu zakładach poprawczych?

Nie wiem, ile takich pustych miejsc jest w Ignaciewie. I nie do- mnie należy ich wyszukiwanie. Od- słaniam tylko samo zagadnienie, a personelowi Ignaciewa życze ambity- nych osiągnięć w dalszej pracy.



osiem, w tym: V, dwie VI, dwie VII, dwie I i jedna II szkoły za- wodowej o kierunku metalowym, stolarskim i mechanicznym. W od- dzielnym budynku mieszczą się war- szaty. Skład personalny zespołu pedagogiczno-wychowawczego: dy- rektor Zakładu Poprawczego i kie- rownik Schroniska w jednej osobie, jego zastępca, psycholog, pięciu nau- czycieli przedmiotów ogólnokształ- cących i sześciu — zawodowych, je- denastu wychowawców w internac- je. Prócz tego zakładem ignacew- skim pod względem wychowawczym opiekuje się specjalnie utworzona Rada Naukowa, która opracowuje metody wychowawcze. W skład jej wchodzi wybitni łódzcy naukowcy z dziedziny prawa, psychologii i medycyny. Przewodniczącym Rady jest prezes Sądu Wojewódzkiego, sęd- zia H. Andrysiak. Pod względem zdrowotnym opiekę nad wychowan- kami sprawuje Akademia Medycy- na (ostatnio Rada wystąpiła do Mi- nisterstwa Sprawiedliwości o przy- znanie zakładowi etatu psychiatry. Przyznanie takiego etatu dla tego typu zakładu, byłoby w Polsce czymś zupełnie nowym).

Nie wymieniam nazwisk ani tytu-

jeszcze) właśnie ucieczki. Według sprawozdania Departamentu Spraw Nieletnich w roku 1959 ze wszyst- kich zakładów (a jest ich w Pol- sce dziewiętnaście) uciekało 439 wy- chowanków, w 1960 — 540, w 1961 — aż 976. Oczywiście, przeważająca większość uciekinierów została prze- dzej czy później ujeta przez milicję i doprowadzona z powrotem do za- kładów. Był to okres specjalnego nasilenia przestępczości, ale jedno- cześnie okres alarmu, który obudził czujność nie tylko milicji, ale ca- łego społeczeństwa. Od roku 1959 poczęto dokonywać rewizji dotych- czasowych metod walki z przestę- pczoscią nieletnich, i wprowadzać no- we metody: mają one wprawdzie do dziś dnia charakter ekspery- mentów, niemniej na pewno wnoszą nowego ducha do tej odpowiedzial- nej akcji.

Czy i w Ignaciewie zdarzają się ucieczki? Oczywiście, uciekają jed- nak przede wszystkim chłopcy ze schroniska, a więc ci przed wyro- kiem, a więc ci niewiedzący co ich czeka, ci zdenerwowani przedłuża- jącym się nierzadko do paru miesię- cy oczekiwaniem na rozprawę. Chłopcy po wyrokach, skazani na

i w ramach poszukiwań własnych metod utworzył eksperymentalną „grupę specjalną”, w której umiesz- cza chłopców na skutek: 1) uciecz- ki, 2) trzech kolejnych raportów karnych, 3) pobicia kolegi, 4) ordy- narnego zachowania się wobec pra- cownika, przy czym najkrótszy okres pozostawania w tej grupie wynosi trzy miesiące. Regulamin opracowany dla „grupy specjalnej” ostrzega, że jeżeli dłuższe przebywa- nie w tej grupie nie wpłynie na pozytywną zmianę wychowanka, Rada Pedagogiczna może przenieść go do innego zakładu o zaostrożnym rygorze. Bo są i takie, mianowicie w Hawie i Malborku.

Przesunięcie do grupy specjalnej połączone jest z dodatkowymi ry- gorami: chłopcy z tej grupy pozba- wieni są możliwości otrzymywania urlopow, przepustki i paczek, a ko- rrespondencji tylko raz w miesiącu, prawa widzenia z rodzicami bez uprzedniego pisemnego zezwolenia dyrektora zakładu, prawa wycho- dzenia poza obręb zakładu, udziału w tzw. kółkach zainteresowań, rozrywek jak telewizji, radia, gier; prawa przechowywania i używania jakiegokolwiek przedmiotów osobi-

JÓZEF DUTKIEWICZ

## WATYKAN, ZABORCY, SPRAWY POLAKÓW

Pierwsza polska walka o niepodległość, konfederacja barska, była ruchem starszalszym, o charakterze katolickim, jednym z organizatorów ruchu był biskup A. Krasieński. Konfederacja była ruchem słabym, wewnątrz skłóconym przez walki koterii magnackich, których ofiarą padł między innymi ojciec K. Pułaskiego. Antymonarchizm konfederatów był bardzo daleki od myśli społecznych reform.

Pierwszy rozbiór nie spotkał się z żadnym protestem rzymskiej kurii. Kler w trzech zaborach przestawił się szybko na lojalność w stosunku do nowych władz. Jezuitów w swym kolegium polockim nawet oddali Katarzynie pewne usługi w zakresie początków rusyfikacji.

Przeciwnie w obszarze Rzplitej pozostawiając Komisja Edukacji Narodowej podejmowała próby zasadniczej reformy szkolnictwa, jego unowocześnienia, spotkała się z dużym oporem nuncjusza i hierarchii kościelnej mobilizującej zachowawcze elementy szlachty przeciw Komisji.

Dzielo Sejmu Wielkiego było dziełem laickim. Konstytucja 3 maja zachowała wprawdzie wszystkie przywileje religii katolickiej, ale nadspodziewanie duży udział biskupów zaznaczył się wśród wrogów ustawy rządowej z dnia 3 maja w konfederacji targowickiej. Wyższe sfery duchowne udzieliły pełnego poparcia Targowicy. Stąd w najbliższych walce o niepodległość w Powstaniu Kościuszkowskim kilku biskupów stanęło przed trybunałem rewolucyjnym a dwu zawisło na szubienicy. Powstanie Kościuszkowskie ujrzało grupe polskich jakobinów nastawionych antyklerykalnie, nawiązujących do hasła Rewolucji Francuskiej, której honorowym obywatelom był sam naczelnik.

Po drugim i trzecim rozbiórze kler polski, jak po pierwszym, przedzierzgał się nader szybko w lojalnych poddanych nowych monarchów składając przysięgi honorowe na równie gorliwie jak nasza arystokracja. Na ten okres przypada na Śląsku intensywna germanizacja, której patronował bp wrocławski Hohenlohe-Waldenburg.

Kuria rzymska była bardzo niechętnie ustosunkowana do republik włoskich, które były wspierane przez nasze legiony Dabrowskiego. Legiony brały udział w likwidacji państwa kościelnego. Legionści przesiąknięci byli ideami republikańskimi, hasłami Rewolucji Francuskiej potępionymi przez Watykan.

Napoleon zawarł konkordat z Rzymem, ale w chwili gdy powołał do życia Księstwo Warszawskie, tego stosunki z Watykanem uległy pogorszeniu. Stąd też stosunek hierarchii kościelnej do nowego państwa polskiego był przeważnie niechętny. Arcybiskup Raczynski wysuwał szereg pretensji pod adresem władz Księstwa. Wódł ostry spór o wysokość indemnizacji płaconej przez państwo duchowieństwu w zamian za skonfiskowane jeszcze przez władze pruskie dobra kościelne. Kler był przeciwnikiem wprowadzonego w Księstwie kodeksu Napoleona. Obrzucał się przeciw wprowadzeniu ksiąg stanu cywilnego. Obrzucał się też na działalność Izby Edukacyjnej, mimo że przepisy o dozrach szkolnych oddawały biskupom poczesne miejsce i przewodniczący, kler dostrzegł w działalności komisji tendencje laickie, kontynuowanie tradycji

cji Komisji Edukacji Narodowej, która poprzednio zwalczała. Duchowieństwo było niezadowolone z cenzury Księstwa, osobliwie jednym z zarzutów był fakt zezwolenia na wystawienie sztuki teatralnej, w której w ujemnym świetle przedstawiono zakon krzyżacki. Władze Księstwa były zmuszone zamknąć w Warszawie klasztor Benonitów za szerzenie propagandy antyfrancuskiej. Niektórzy przedstawiciele kleru jak np. kanonik Woronicz wygłaszali bardzo patriotyczne kazania, pełne entuzjazmu dla osoby Napoleona.

W dobie Królestwa Kongresowego w pierwszych latach jego istnienia przejawiały się pewne tendencje antyklerykalne. Kontynuowano prądy laickie w szkolnictwie. S. K. Potocki wydał poczytną książkę pt. „Podróż do Ciemnogrodu”, gdzie napiewnował wsteczniostwo klerykalizmu. Ale w 1821 r. nastąpił zwrot. Potocki musiał ustąpić ze stanowiska ministra oświaty. Zastrzeżona cenzura ostrze swe skierowała przeciw wszelkiej wolnej myśli. W szkołach prefekci uzyskali specjalne uprawnienia od nowego ministra oświaty S. Grabowskiego. Kontrolę religijną rozciągnięto też nad studentami szkół wyższych. Powstały na pół świecie kłopoty organizacje religijne tzn. kongregacje dbające o bezwzględne przestrzeganie wskazówek nadchodzących z Rzymu.

W czasie powstania listopadowego władze powstańcze rozwinęły się stowarzyszenia jako niezgodne z zasadami nowego państwa. Prasa i publicystyka przyjęła ton antyklerykalny, przedrukowywano nawet broszury z okresu reformacji przeciw nadużyciom duchowieństwa skierowane. Większość biskupów abstynowała się od obrad rewolucyjnego senatu. Powstało było jednym z ruchów liberalnych, nietrudno było dyplomacji carskiej w Watykanie uzyskać brewe nawołujące do posłuszeństwa prawowitemu władcy. Po powstaniu papież Grzegorz XVI specjalną encykliką potępił powstańczy ruch. Papież przeciw rewolucjonistom włoskim potrzebował pomocy Austrii i Rosji dla obrony swych interesów w państwie kościelnym. Wśród niższego kleru znalazła się pewna ilość kapelanów pełniących swe obowiązki z poświęceniem. W radykalnym Towarzystwie Patriotycznym z czasów powstania znaleźć można nazwiska kilku księży przeważnie ekspatrijów jak Pułaski, Szynglarski, Gacki. Należeli oni do lewicy Towarzystwa.

Stanowisko kurii rzymskiej wobec największego z zaborców Rosji usprawiedliwiała całkowicie obraz papieża pozostawiony nam w Kordianie przez Słowackiego. Mimo że Mikołaj przystąpił w końcu lat trzydziestych do dalszej likwidacji unii kościelnej, papież podpisał w 1845 konkordat z Rosją. Rok przedtem władze kościelne wydały sądowy carskiemu ks. Sciegiennemu. Kler w Galicji był ultralojalny jak za Józefa II. Kler w zaborze pruskim popadł w osobie arcybiskupa Dunina w zatarg z władzami, ale zatarg ten nie miał nic wspólnego z kwestią narodową (chodziło o małżeńską mieszane). Następcą Dunina na stolcu arcybiskupim, Przyłuski, w 1846 i 1848 okazał się bardzo lojalnym poddanym króla Prus.

Okres manifestacji w Królestwie w latach 1860—1862 może być wymieniany jako epoka najcięższego związania uczuć patriotycznych z religijnymi, manifestacje odbywały się w kościołach lub połączone były z ceremoniami kościelnymi. Jednak stanowisko

władz kościelnych było różne od pozycji kleru niższego zwłaszcza zakonnego. Arcybiskup Feliński udzielił swego poparcia polityce Wielkopolskiej. polityce lojalności, zmierzającej do powstrzymania walki narodowej. W walkach powstańczych brała udział część księży, do historii utrzymała się najdłużej. Papież Pius IX zajął stanowisko dość dwuznaczne. wprawdzie nie potępił ruchu jak Grzegorz XVI ale deklaracje kurii były dość niejasne, łagodne w kwalifikacji postępowania władz carskich. Watykan znowu był zainteresowany w utrzymaniu dobrych stosunków z Rosją, której pomoc była mu potrzebna w konflikcie z państwem włoskim.

Nowa ostatnia faza prześladowań unitów na Podlasiu i Chełmszczyźnie nie przeszkodziła papieżowi Leonowi XIII podpisać nowego porozumienia z rządem carskim w 1882 roku.

W zaborze pruskim pierwsze lata istnienia katolickiej partii centrum będącej w opozycji do Bismarcka wykazywały pewną kooperację z polskimi organizacjami narodowymi. Jednak już pod koniec lat siedemdziesiątych między Watykanem a Bismarckiem doszło do porozumienia w sprawie wspólnej akcji przeciw ruchowi socjalistycznemu, od tego czasu centrum na Śląsku ułatwia akcje germanizacyjne władz. Papież na stanowisko arcybiskupa gnieźnieńskiego powołał Niemca Dindera, który wyraził zgodę na nauczanie religii w języku niemieckim.

W Galicji kler stał się podpora stronnictwa stanicyzów, ultralojalnego, odznaczającego się od wszelkiej myśli o niepodległości. Ks. Stojalowski inicjujący pierwsze organizacje chłopskie mimo ich bardzo umiarkowanego charakteru naraził się na konflikt ze swymi przełożonymi w kurii biskupiej przemyskiej.

Watykańska dyplomacja oddała usługi caratowi w okresie powstawania sojuszu francusko-rosyjskiego. Sojusz ten był przeciwbieżnym polskiej nadziei na pomoc Francji w sprawie odzyskania niepodległości. Dyplomacja carska utrzymuje z kurii rzymską serdeczne stosunki (poseł lwowski). U podstaw ich leżała ze strony Watykanu odwieczna nadzieja na pojednanie z kościołem prawosławnym. Papież w 1894 wydał nowe brewe do ludności polskiej wzywając ją do lojalności w stosunku do władz carskich. Ta lojalność kleru była tak daleko posunięta, że nawet nacjonalistyczne, wszechpolskie ugrupowanie zrazu wykazywało pewne tendencje antyklerykalne.

Watykan od 1891 (encyklika Rerum novarum) próbował w różnych krajach montować społeczny ruch katolicki rywalizujący z zawodowymi organizacjami robotniczymi klasowymi. Ruch ten przybierał czasem w praktyce charakter dość radykalny niezamierzony przez jego twórców. Pius X uznał za stosowne potępić francuskie i włoskie organizacje katolickie. W Polsce wśród naszego kleru takich tendencji nie było. Przewidywał się w swej większości opowiadał się za tzw. ruchem integracyjnym w kościele, przeciwstawiającym się wszelkim prądom modernizacji nauki kościelnej (organ Myśl Katolicka).

W dobie rewolucji 1905 arcybiskup Popiel wzywał wiernych do zaniechania brania udziału w ruchu rewolucyjnym. Kościół zadawał się całkowicie aktem tolerancyjnym wydanym przez cara. Nawet strajk szkolny został przez władze kościelne potępiony. Hierarchia kościelna szła w tej sprawie po linii najbardziej konserwatywnych stronnictw w Królestwie. Pius X w liście do biskupów polskich całkowicie aprobował to stanowisko nawołując do posłuszeństwa prawowitej władzy i nieulegania podszeptom „burzycieli”.

W chwili wybuchu wojny w 1914 Watykan sympatyzował zdecydowanie z rządem austriackim. Utrzymywał stosunki dyplomatyczne ze wszystkimi trzema zaborcami, nie miał natomiast takich stosunków ani z Francją ani z Anglią. Hierarchia kościelna w trzech zaborach wykazywała wielki stopień lojalności w stosunku do władz. Wobec takiego stanowiska Watykanu nie dziwnego, że gdy Niemcy będa od 1916 r. montowali marionetkowe państwo polskie przy boku państw centralnych do rady regencyjnej powołał arcybiskupa Kakowskiego.

## MIASTO CICHYCH BOHATEREK

Dalszy ciąg ze str. 1

nem powieści innych dzieł sztuki, których walory artystyczne przetrwały a treść przestała pasować do obrazu dzisiejszego życia. 2<sup>o</sup> — rzeczniczy(czki) dalszej walki o prawa kobiet przywodzi liczne dowody zawodowych sprawności kobiet nie gorszych niż sprawności mężczyzn, ale 3<sup>o</sup> — nie są w stanie zmienić faktu, że rodzenie i jego liczne konsekwencje pozostają niezmiennie związane z psychofizycznym ustrojem kobiety. 4<sup>o</sup> — nie zawsze jest rzeczą jasną, czy tzw. osiągnięcie w dziedzinie emancypacji jest istotnie osiągnięciem, czy też może jest ono dalszym pogrzebieniem kobiety. 5<sup>o</sup> — mężczyźni, zdolni do niesłychanych ekstrawagancji dla swoich pompadour i cości, chętniej rzęca pod piękne nozki futro z szynszylki niż 300-złotowy fotel, symbolizujący ich miejsce pracy. 6<sup>o</sup> — kobiety nie trudnią się zawodowo (lub z posłannictwa) walką o prawa kobiet, wybierają sobie często zawody, z którymi potem nie wiedzą, co mają zrobić, lub o których z góry wiadomo, że są źle płatne, a więc krzywdzą kobiety. 7<sup>o</sup> — żadna wojowniczką o prawa kobiet, ciesząca się z widoku mężczyzny pchającego wózek dziecięcy, nie rzuciła hasła: „Same sobie nośmy walizki! Nie trzeba, by nas puszczano przodem, ustępowano miejsca, podawano płaszcze! Nie kłokietujmy! Nie pozwólmy się zdobywać! Siostry, przecież każdy szczegół naszego stroju, od czubka bućki do lezka wymyślony został dla innej płci, tej samej, która nas spycha na gorzej płatne posady — przez z kolektoria!” 8<sup>o</sup> — „amazon” znaczy po grecku: „bez piersi”; jak tu być amazonką w epoce toplessu?

Punkty powyższe sformułowane zostały nie po to, by przeciwdziałać słusznym tendencjom ruchu kobiecego, ale aby wskazać na złożoność zjawiska. Im zaś bliżej Łodzi, tym sprawa staje się bardziej skomplikowana. A oto tego faktu przyczyna. Jeżeli w Warszawie 30 proc. wszystkich zatrudnionych pracuje w przemyśle, to w Łodzi — 60 proc. Jest to obok Katowic wskaźnik najwyższy w kraju, ale Łódź nie korzysta — jak wiadomo — z karty górniczej. Tej olbrzymiej liczbie pracowników przemysłowo żyło by się znośniej, gdyby odpowiednio duża ilość mieszkańców miasta była zatrudniona w dziedzinie usług. Niestety — jeżeli w Warszawie 45 proc. ogółu zatrudnionych świadczy usługi dla reszty, we Wrocławiu czy Krakowie — 43 proc., to w Łodzi zaledwie 23 proc. Cyfry te pokazują, o ile mamy za mało sklepów, zakładów gastronomicznych, pralni, bibliotek, domów kultury itd. Jest to upośledzenie tym bardziej dotkliwie, że Łódź daje państwu około 6 proc. globalnej wartości produkcji przemysłowej, więcej niż wyżej wymieniony Wrocław lub Kraków. Za to wskaźniki spożycia są w Łodzi niższe.

Fakty te przytaczam nie dlatego, że od kilku tygodni prasa warszawska i telewizja prowadzą kampanie mająca przekonać kraj cały, jak bardzo trudno jest żyć w stolicy. Nie, poruszam te sprawy, bo dolegliwości wynikające z łódzkiego niedorozwoju rzutują głównie na los kobiety. Na 100 mężczyzn przypada w Łodzi 116 kobiet, więcej niż w innych miastach Polski mamy średnią 108. Na 100 łódzianek w wieku zdol-

LECH UTRACKI

## OBRĄZKI Z ANGLI

W pochmurny ranek zimowy mknęliśmy główną autostradą z Manchesteru do Liverpool. Było mgliście i szaro. Pola, poboza szosy pokrywał zeskorupiały śnieg. Autostrada posypana chlorkiem wapnia była szorstka i pozwalała na pewne prowadzenie wozu. Odcinek Manchester-Liverpool to niemal nieprzerwany ciąg fabryk, elektrowni, kopalni, składów. Ruch ogromny; prawie połowe pojazdów stanowią ogromne samochody ciężarowe, których początkiem bądź to końcem podróży są bramy portu w Liverpool.

Miasto sprawia pępepe wrażenie. Setki, tysiące jednakowych domków. Nieprzerwany ciąg, jakby złożony z segmentów, tak samo ponurych, tak samo szarych, tak samo brudnych jeden za drugim ustawionych od jednej przeczynicy do drugiej wielkich, dymiących potwo-

rów; węży gigantów. Jezdnia stara, wybita, trzesząca. Całe fragmenty zrupnowanych, częściowo rozburzonych dzielnic. Wreszcie centrum.

— Czy może nam pan wskazać drogę do uniwersytetu? — pyta Dave pyzatego, młodzieńczego, różowego, wygolonego do nieprawdopodobnych granic (brak śladu zarostu) policjanta.

— Przy pierwszych światłach skręć pan w prawo, potem przejeździecie trzy serie światel, przy czwartych w lewo i przy drugich zaczyna się campus — z uśmiechem, rzeczowo i powoli tłumaczy Bobby. Do dziedzińskiej jego twarzy przedziwnie pasuje tutejszy akcent: jakby starał się mówić niższym, bardziej „dorostym” głosem przy tym w dziedziński sposób przekrecając „a” w „o”.

Teren uniwersytecki. Najstarszy gmach do złudzenia przypomina mi któraś ze starych łódzkich fabryk włókienniczych: czerwona, pociemniała od sadyz cegła, nie wiadomo na co komu potrzebna i niewielkie, gesto pokratkowane ramami okna o małych szybkach.

Obok tego kocmoluha pęsnia się blaskiem dużych powierzchni oszklonych gmachy inżynierii: mechanicznej, elektrycznej, chemicznej... Ten ostatni oddano do użytku pięć lat temu. Jest to trzyskrzydłowy kołos o salach ćwiczeń na 120 osób i gabinetach badawczych na jedna, dwie i cztery osoby. Świetlone wyposażony o radiofonizowanych audytorach kabinami słuchowo-wizualnymi na zapleczu. Z owych kabin techniki może bądź to wyświetlać film,

pomoćny do wykładu, rzucić przezroczą, odtwarzać tekst z taśmy bądź go nagrywać.

Cwiczenia, które odrabiają studenci drugiego i trzeciego roku z chemii fizycznej są tak pomyślane, by w czasie studiów przyszli inżynierowie czy badacze mogli zapoznać się z aparaturą i nowoczesnymi metodami pomiaru. To o czym u nas marzy się od lat, a w efekcie daje się studentowi do reki stoper i każde mierzyć czas wypływu cieczy lub gazu. Podobną korzyść może im przynieść mierzenie czasu biegacza na boisku. Lecz mierz serce.

Naprzeciw gmachu chemii rozpościerała się pawilon najmłodszego wydziału fizyki, a za nim... — Odwiedzający nas Amerykanie — śmieje się prof. North — twierdzą, że dla uczczenia ich sukcesów budujemy katedrę w kształcie kabiny Gemini. My z kolei tłumaczymy im, że Gemini jest jedynie kosmiczną reklamą naszej katedry...

Nowoczesna, nieukończona katedra katolicka w Liverpool ma rzeczywiście kształt przypominający kabinę Gemini; jakby ktoś na studmowej wielkości stożek nałożył koronkową, oszkloną rurę-koronę. Stojący obok katedry czteropiętrowy budynek fabryki urządzeń kanalizacyjnych (również czerwona cegła) wygląda jak karzeł. To zresztą jego ostatnie dni. Za rok, za dwa, cała ta dzielnica zmieni się nie do poznania. Wyburzenia idą na dużą skalę.

Kiedy opuszczam teren uniwersytetu jest już noc. Studenci odpię-

li już do college'ów i prywatnych kwatier. Audytoria opustoszały, jedynie w centralnym gmachu, gdzie mieszczą się laboratoria naukowe pali się światło.

— Jak układa się wasza współpraca z przemysłem? — standardowe pytanie.

— Nasi profesorowie byli pracownikami naukowymi w przemyśle. Dzisiaj są konsultantami takich firm jak „Shell” czy „ICI”. To za pewnia dobra współpraca — im wiadomości z pierwszej ręki i możliwości podsuwania pewnych zagadnień do opracowania, nam pieniądze i sprzęt. Zagadnienia, które opracowujemy na skutek sugestii przemysłu mają charakter badań podstawowych. Dostosowaniem ich do praktyki zajmują się naukowcy zainteresowanej firmy. Proszę jednak nie uogólniać takiego stanu rzeczy; tak się sprawy mają w uniwersytetach ośrodków przemysłowych, jak nasz, czy Uniwersytet w Manchesterze, może Leeds. O ile w miast takich kontaktów Cambridge ani Oxford nie posiadają; oni zajmują się „najczystsza” nauka.

Liverpool ostatnio stał się sławny nie dzięki uniwersytetowi, portowemu transakcjom, czy nowoczesnej katedrze, lecz czterem chłopcom ze swych przedmiotów. Powodze nie Beatelsów to nie tylko zasługa ich samych lecz przede wszystkim atmosfery miasta. Liverpool, miasto portowe, miasto przeróżnych typów, nacji, temperamentów. Miasto o nieprzejętym brudnym i biednych dzielnicach, Miasto wysoko po-

nad przeciętność ładnych dziewcząt. Miasto jak Nowy Orlean mieszanych ras, mieszanych tradycji i wpływów.

To chyba port winien wszystkim. Bo i czemuż innemu przypisać inność tego miasta. Przywołajcie angielskie miasto już około siódmej po południu pustoszące, o dziwniejszej wygładzie jak wymiarie; nieleczne światła w oknach, kilku przechodniów. Liverpool jeszcze o jedenastej pełen jest gwaru. Przywołajcie angielskie miasto nie posiada klubów beatowych. Liverpool w gazecie codziennej reklamuje ich ponad dwadzieścia. W przywołanym angielskim mieście trudno znaleźć otwartą restaurację w niedzielę. W Liverpoolu większość nosi napis: „otwarte 7 dni tygodnia”. Przywołajcie angielskie miasto winno mieć przywołajcie centrum i zasobne dzielnice podmiejskie. Liverpool posiada centrum o uliczkach wąskich i krotkich, przeznaczonych dla pieszych lub konnych, o bogatych sklepach z rozjarzonymi witrzynami, pełnych dobra z całego świata i tuż za nim rozciągającego się morza slumsów.

Tu właśnie, z ogromnej masy podobnych sobie młodych piosenkarzy wywodzi się Beatelsi. Dzisiaj są już zbyt wielcy, by jak przed 3, 4 laty co wieczór grywać w jakimś „Złowie”, „Grobie”, „Piwnicy”, „Tlustym Czwartku”, „Młynie” czy w innym klubie o podobnej nazwie.

Klub pana Blaira obiecywał trzy zeszyty od 7.30 do 11. Około 8 zdecydowali się go odwiedzić. Ulicę o 300 numerach przejechaliśmy cztery razy wypatrząc neonu, na-

ności do pracy, pracuje 75, jest to procent aktywizacji zawodowej bardzo wysoki, o tyle niekorzystny, że w przemyśle włókienniczym płace są niższe i w ten sposób brzemie scharakteryzowanych wyżej niekorzystnych warunków niosą w znacznej mierze łódzkie kobiety. Dlatego kobiety, że jeżeli w skali całej Polski na 100 osób zatrudnionych w przemyśle przypada 31 kobiet, to na 100 osób zatrudnionych w przemyśle Łodzi kobiet jest 53. Stanowią one:

- 64 proc. pracowników przemysłu włókienniczego,
- 80 proc. pracowników przemysłu odzieżowego,
- 72 proc. pracowników przemysłu dziewiarско-поńczosznego,
- 60 proc. pracowników przemysłu gumowego,
- 75 proc. pracowników przemysłu szklarskiego.

Poza tym kobiety są przedszkolankami, nauczycielkami — zwłaszcza w niższych klasach, stanowią personel przychodni lekarskich, żłobków, stoją za ladami sklepów, pracują w usługach.

Na pewno nie sprzyja poprawie ogólnej sytuacji kobiet łódzkich fakt, że — trawestując znane przysłowie — czego się Jasia nie nauczyła, tego Janina nie umie, co daje następujący efekt cyfrowy. Tylko 4 proc. kobiet zatrudnionych w gospodarce Łodzi ma wykształcenie wyższe, gdy np. Warszawa i Kraków charakteryzuje 9 proc., Wrocław — 7 proc. Wykształcenie średnie zawodowe ma tylko 6 proc. zatrudnionych w Łodzi kobiet, gdy wskaźnik ten dla Polski wynosi 12, dla Warszawy, Poznania i Wrocławia — 10, dla Krakowa nawet 13. Również w dziedzinie przygotowania zawodowego na poziomie szkoły zasadniczej łódzianki wyglądają gorzej niż mieszkanki innych miast, za to ilość takich, które nie mogą się wylegitymować żadnym świadectwem ukończenia szkoły, jest kompromitująco wysoka. Pod tym względem również i meska połowa naszego miasta nie ma na swoim koncie wielkich sukcesów, ale świadomość tego w niczym kobietom nie ulży. Poza tym my mężczyźni potrafiłiśmy stworzyć powszechne przekonanie, że niedouczony mężczyzna nie jest wcale głupszy od edukowanej kobiety. Wynika to niedwuznacznie z poniższego zestawienia zarobków.

W roku 1962 20 proc. pracujących fizycznie kobiet (w Łodzi) zarabiali poniżej 1000 zł, podczas gdy podobnie niskie uposażenie miało tylko 7 proc. mężczyzn. Za to od 2.000 do 3.000 zł zarabiali 40 proc. mężczyzn a tylko 10 proc. kobiet. No — mówię czytelniku — ale tu chodzi o pracę fizyczną. W tej dziedzinie zapewne „chłoby” zawsze była góra. Wobec tego rozpatrzmy z podobnego punktu widzenia pracowników umysłowych. W tej grupie do 1.000 zł zarabiali 3 proc. kobiet a 1 proc. mężczyzn. Zarobkiem nieprzekraczającym 1.500 zł zadawało się 44 proc. kobiet a 9 proc. mężczyzn, za to wynagrodzenie przekraczające 2.000 zł przysługiwało głównie mężczyznom, ponad 3.000 zł otrzymywało 27 proc. mężczyzn a tylko 3 proc. kobiet. Dali bóg nie sędzi, by prace przeciętne st. asystenta lub referenta kobieta miała gorzej wykonywać niż mężczyzna, by więc byto, cokolwiek usprawiedliwione jej niższe uposażenie. A oto przegląd zarobków w powiązaniu z wykształceniem, 6 proc. ogółu mężczyzn zatrudnionych w Łodzi ma wykształcenie wyższe, ale — jak wiadomo — 27 proc. ogółu mężczyzn zatrudnionych w Łodzi zarabia powyżej 3.000 zł. Jeżeli idzie o kobiety, to 4 proc. łódzianek syczy się wyższym wykształceniem. Ale powyżej 3.000 zł zarabia tylko 3 proc. ogółu pracujących kobiet. Wykształcenie średnie i wyższe zawodowe ma 12 proc. mężczyzn i 10 proc. kobiet, za to powyżej 2 tys. zł zarabia 70 proc. mężczyzn i 21 proc. kobiet.

Z powyższego fragmentu niniejszego artykułu nie należy wyciągać wniosku, że autor nawołuje do oddawania spraw naszej gospodarki w ręce kobiet. Albo do zarezerwowania ich dla mężczyzn. Chodzi tu po prostu o jakiś konsekwentny w postępowaniu. Jeżeli się kobiecie dać wyższe, czy jakiegokolwiek inne wykształcenie, to należy jej dyplom traktować jako dowód pewnych jej społecznych wartości, analogicznych do dyplomu mężczyzny. Jeżeli się tego nie robi, to chyba dla dwóch powodów.

Za dużo jest jeszcze deklaracyjności w naszym stosunku do pracy zawodowej kobiet. Po drugie, wbrew pozorom wartość wykształcenia, zwłaszcza wyższego jest u nas wciąż jeszcze zbyt niska. We wstępie do niniejszego artykułu wskazywałem na fakt mieszania się w omawianej sprawie wielu różnych elementów, których wypadkowa kształtuje się nie najkorzystniej dla kobiet. Są przecież dziedziny, w których elementy te układają się w bardziej przejrzyste schematy. Weźmy dziedzinę oświaty i kultury. Wśród zatrudnionych w niej kobiet 5 proc. zarabiali powyżej 3 tys. zł, podczas gdy uposażenie takie przysługiwało mężczyznom w 22 proc. W dziedzinie tej bardzo trudno doszukać się powodów, dla których kobieta miałaby wykonywać pracę gorzej. W związkach zawodowych pracuje wyjątkowo dużo kobiet, bo jeśli idzie o Łódź — to aż 28 proc. Sądzić należy, że organizowaniem współzawodnictwa pracy, ży-

liwym punkcie, wywiekanym na światło dzienne zawsze około 8 marca i wywiekanym zawsze, ilekroć zjedzą się lub zjadą kobiety czujące w sobie zadziornego ducha sufrażystek. W publikacjach omawiających ten temat mówi się o kobiecej godności i niezależności pływającej z aktywności zawodowej kobiet. I tuż obok można znaleźć twierdzenie, że w przemyśle Polski pracuje obecnie ponad milion kobiet, gdy przed wojną pracowało ich tylko 330 tys. Czy jeżeli te liczby zestawimy z stwierdzeniem, że kobiety zajmują stanowiska gorzej płatne, należy fakt ten uważać za postępek w sytuacji kobiet, czy regres? Mężczyzna — kierownik woli mieć na odpowiedzialnym stanowisku mężczyznę. Mężczyzna bowiem nie ma komiesicznych kłopotów ze zdrowiem, z przemianami w działaniu hormonów, nie ma odchyleń od psychicznej równowagi, nie porosił nigdy o urlop macierzyński. Kobiety zajmujące się tą proble-

czna część domowych obowiązków ktoś płatny lub bezpłatny niesie na swoich barkach. „Obowiązki domowe” przylgnęły mocno i trudno się ich pozbyć pomimo wielu wypowiedzi i publikacji zagadnieniu temu poświęconych. Czy przyczyną tego faktu tkwią tylko w uprzedzeniach i nawykach? — Chyba nie. Reprezentując stanowisko najbardziej życzliwe wysiłkom kobiet w kierunku ich rzeczywistej równości z mężczyznami, nie wolno lekceważyć faktów, tych, których żadne wysiłki zmienić nie są w stanie. Fakty te to przede wszystkim psychofizyczna całość kobiety z całą złożonością zjawisk towarzyszących jej... kobiecości. To psychofizyczna całość mężczyzny, który współzawodnicząc na polu zawodowym z mężczyznami i wykazując w tym współzawodnictwie cechy pewnej bezwzględności, chyba nigdy nie uchylił kapelusza ze słowami: „Madame, oto mój fotel, w zamian zechce mi pani przekazać swoją ściereczkę i wózek...”

Zresztą badania prowadzone przez dr A. Kłoskowską w środowisku pracujących łódzianek dowodzą, że większość kobiet wolałaby, by mężczyzna utrzymywał dom, a nawet te, których więź z zawodem jest silniejsza, przyznają mężczyznom prawo do większego zarobku, do wyższego niż one mają stanowiska w zawodzie.

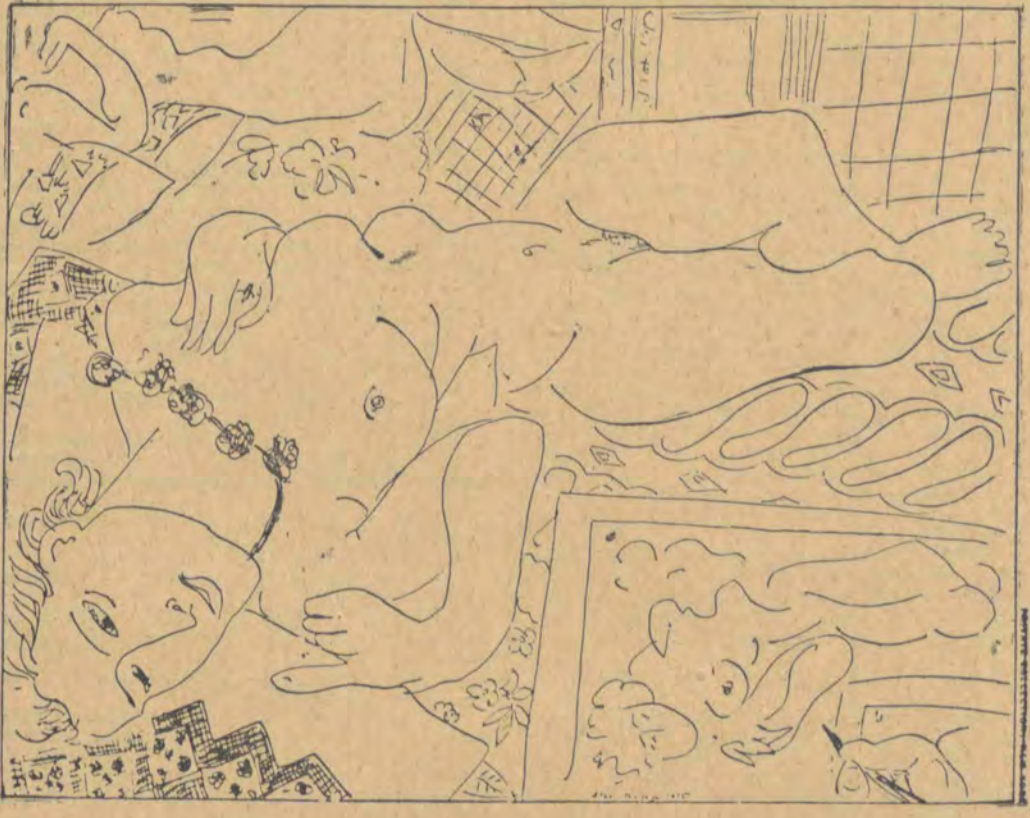
Problem pozycji kobiety w społeczeństwie dzisiejszym niepodobna oddzielić od problemu potomstwa. Jeżeli sytuację pracującej łódzianki przedstawił wyżej bez kamuflażu, to przecież nie wolno zapomnieć, że aktualna sytuacja już jest wynikiem poprawy na przestrzeni wojennego dwudziestolecia i analogiczny artykuł pisany dwa dziesiątki lat temu opisywałby sprawy wręcz tragiczne. Dziś — aczkolwiek niewystarczająca, istnieje przecież i rośnie sieć usług, powstały szkoły, żłobki, przedszkola. W latach 1961—1965 w jednej tylko dzielnicy Widzew powstało sklepów nowych — 16, 10 sklepów powiększono i zmodernizowano a także uruchomiono kilkanaście punktów usługowych. Jeżeli w wyniku tych i innych posunięć kobiecie pracującej łatwiej jest kupić, wyprać, naprawić, jeżeli może ona przechowywać dziecko w żłobku, przedszkolu czy szkolnej świetlicy, to nikt chyba nie zechce twierdzić, że izolacja matki od dziecka w ciągu znacznej części dnia jest idealnym w punkcie widzenia dobra dziecka i uczucia matki. Wyrozumiały, sprawiedliwy, chętny do pomocy i dysponujący czasem mąż może pomóc wiele. Ale na przykład mąż uganiający się za zarobkami pomimo harmonijnego zespołu zalet zostawi żonę całość spraw domowych i żadna akcja propagandowa temu nie zaradzi.

A jednocześnie fakt pozostaje faktem, że 46 proc. pracujących Łodzi to kobiety, że 53 proc. pracujących w przemyśle Łodzi — to kobiety. Mnóstwo postulatów niesłychanej dla nich wagi wysunęła a następnie przeforsowała ich realizację — Liga Kobiet, Zakład Socjologii UŁ w osobach dr dr S. Dziecielskiej, A. Kłoskowskiej, J. Kulpińskiej prowadzi badania mogące stanowić punkt wyjścia dla pewnych korekt.

Zamiast ogłaszania laurki świecidełkowej wada sformułować postulaty, z których to podstawy uznać należy zbliżenie Łodzi — miasta robotniczego (najwyższy w kraju wskaźnik zatrudnienia w przemyśle) i miasta kobiecego (jeden z najwyższych w kraju procent kobiet pracujących) do poziomu innych miast w dziedzinie usług i tych wszystkich instytucji, których działalność przynosi ulgę losowi kobiety pracującej. Skoro mamy tak wielki procent kobiet pracujących, nie wydaje się słusze szukać nie rozwiązań we wpychaniu meżowi do rak dziecięcego wózka i siatki na zakupy a wyjścia szukać należy w takiej organizacji pracy, by kobieta mogła być... kobieta i mieć jednocześnie zadowolenie ze współdziałania w sprawach łączących poza jej mieszkaniem.

I — miła łódzianko — najpiękniejszą z Twoich uśmiechów nie zastąpi dyplom ukończonej uczelni.

**JERZY URBANKIEWICZ**  
(Dane liczebne do artykułu zaczerpnięte ze stenogramu, z wygłoszonych na Seminarium Naukowym Ligii Kobiet, referatów dr dr S. Dziecielskiej, A. Kłoskowskiej, J. Kulpińskiej i H. Mortimer.)



Henri Matisse

cia kulturalnego i przydziałem czasów mogłyby zająć się niemal wyłącznie kobiety, choć prawie w 3/4 robia to mężczyźni. Pewne zawody kobiety opanowały wyłącznie lub prawie wyłącznie. Nie mamy dziś telefonistów, pielęgniarek, sekretarzy osobistych, niewielu spotykamy ekspedientów. Czy feminizacja tych zawodów jest dowodem kobiecych triumfów na polu zawodowym? — nie! kobiecych klęsk. Zająłby na ogół zawody porzucone przez mężczyzn, bo gorzej płatne. Tam tylko, gdzie pojawiają się oznaki bezrobocia wśród kobiet, nakazy administracyjne rezerwują dla nich pewne prace, nie bez sugestii wynikających z owej faktycznie rozszerzającej się feminizacji niektórych dziedzin. Często kobieta, szukając pracy, życzy sobie zajęcia mniej absorbującego, zostawiającego jej czas i możliwość kontynuowania tzw. „obowiązków domowych”. I oto jesteśmy w owym dra-

matyką, czynią z powyższego zarzut mężczyznom — kierownikom. Zarzut niesłuszny. Wymienione wyżej różnice w fizjologii mężczyzny i kobiety są faktem i faktu tego nikt nie zmienia. A oto fakt drugi: kierownik ma prawo i obowiązek tak organizować swoje przedsiębiorstwo lub dział, by funkcjonowały optymalnie. Kierowników-kobiet nie mamy dotąd wielu. Wobec wielkiej armii kobiet pracujących w Łodzi tylko 545 zajmuje stanowiska kierownicze. Mamy zastępcę przewodniczącego RN, prze wodniczącą DRN, jednego dyrektora, paru wicedyrektorów, poza tym są to kierowniczkę działów produkcyjnych, a w połowie — kierowniczkę działów administracyjnych w biurach. W jaki sposób wylać się one z ogólnej sytuacji kobiet pracujących zawodowo? — Wpłynęło na to ich wykształcenie, zalety osobiste, i na ogół — o tyle korzystna sytuacja domowa, że zna-

biu, czy choćby znaku Klubu (ogłoszenie w gazecie nie podawało numeru domu). Nic. Ulice ciemne, pustki. Słumsy częściowo rozwalone, częściowo o wybitnych szwach. Dwu młodych ludzi stoi pod latarnią.

— Pojedziecie do świetlic, potem w prawo. Klub jest na Coop-shop — powiedział młodszy, chyba 13-letni chłopiec.

— Rany boskie Leszek, ja chyba pieniądze zostawię w wozie — wyamrotował Dave.

Klub był na trzecim piętrze ogromnego gmazyska, zbudowanego przed stu laty. Ciemne zaplute schody, dryblas z potem w ustach na podeście, na następnym z solidnych rur, przegroda z wąskim przejściem, małe okienko kasy, w którym śliczna buzia młodzieńczej dziewczyny.

— Sorry sir — zatrzymał nas przyszyty młody człowiek około 16-letni. — Tam nie ma bufetu. Tylko sok i owoce i mleko.

— W poradku — rzekłem zdumiony jego usługą informacją. Czyżbyśmy wyglądali na alkoholików?

Dotarliśmy w końcu do lokalu Klubu. Była to sala teatralna na około 500 osób, wysoka i pusta. Nikt światła żarówek oświetlało lśniący parkiet. Wokół stało kilkadziesiąt krzesel. Ze sceny, na której przygotowywał się do występu pierwszy zespół — „Przewoźnicy”, mezafony nastawiono na maksymalną siłę głosu wylę ośmieszając. Siedliśmy w najciemniejszym rogu sali, jak najdalej od głośników.

— Kiedy to się zacznie? — wrzesz-

czaliśmy w ucho Davowi, starając się przekrzywić beatową super-muzykę.

— Już się podłączają — odwrzasknął.

Trudne jest życie i kariera dzisiaj szego śpiewaka. Gitara elektryczna wymaga wzmacniacza, głośnika, modulatora. By przekrzywić grzmot własnej gitary on sam musi mieć również mikrofon, wzmacniacz... Ze spół składa się z 3 do 6 członków. Aparatura elektroniczna decyduje o czystości głosu, o powodzeniu, jest więc najważniejsza. Wszystko to waży, kosztuje, wymaga opieki, konserwacji i znajomości. Każdy zespół woz swój zestaw elektroniczny. Na scenie orzędowi krzyżują się i placzą. Światła kontrolne migocą, mikrofony wywracają się, pod nogami walają się butelki po „Pepsi-cola”. Rozpacz.

Najbliższe nas krzesła zajmują około 12-letnie dziewczęta. Siedzą po 4, 6 razem, palą papierosy i krzyczą do siebie. Co chwila jak wróble zrywają się i krecac tłusty mi zadeczkami biegną nie wiedząc czemu w inny koniec sali, przysiadają na chwile i wracają. Włosy proste po ramiona, kuse sukienki odstające kolana, rozpięte sweterki z wóczki. Nieco starsze, może 14-letnie siedzą spokojnie. Też takie włosy, lecz i czarne swetry opanujące zaczątki kobiecych kształtów i spodnie marynarskie, nieco przykrótkie, trudno odróżnić czy z racji wyrośnięcia, czy ze stylu.

Podłączyli się wrzeszcz. W tany poszły pierwsze pary. Rytmiczne przekładanie nóg, potrząsanie lewą

reka, trzymanie się prawymi! Jakież ja stary i tradycyjny! Nigdy by mi na myśl nie przyszło publicznie wyznaczyć takie starozemne matczyne ruchy. A może to dlatego chłopcy nie tańczą? Tak moi drodzy: nie tańca. Siedzieliśmy w naszym kacie przez 45 min. występu „Przewoźników”, tańczyły tylko dziewczęta. Chłopcy, których było 1 na ich 10 snuli się pod ścianami, rozmawiali z dziewczętami w czasie przerwy lecz ani razu żaden nie wszedł na wywoskowaną płaszczyznę. Również przez cały ten czas, dziewczęta nie zmieniły kolejniści ani stylu swych żalostnych podrygów.

— Ciekaw jestem kto dokłada do tego interesu — odezwał się Dave po wyjściu. — Wynajem sali, opanowanie trzech zespołów, obsługa, światła, ogłoszenia i to dla 30 dziewcząt, które w tym czasie powinny już siedzieć w domu.

— Czemu chłopcy nie tańczą?

— Oni są niezdatni do niczego. Długowłose mary snujące się bez sensu, bez celu, bojące się wszystkiego co może tracić zaangażowaniem czy wydatkiem energii. Jak tancerki dwaj pod latarnią. Jakież takie stonogi z młocnych zaułków. Jedziem do drugiego.

Ów drugi klub o aromatycznej nazwie „Rynsztok”, znajdował się w centrum śródmiejskiej dzielnicy rozrywkowo-kulturalnej. Obok filharmonii, dalej teatr, kilka kin, nocnych lokali. Tym razem nie szukaliśmy długiego. Nowoczesny stylizowany napis świetlny, grunki młodych ludzi pici obojga były wido-

czyli wszyscy ze wszystkimi. Obserwowałem dwóch chłopców stojących pośrodku sali. Taniec trwał, oni spokojnie rozmawiali paląc papierosy. Przerwa minutowa i nowy taniec. Zaczeli podrygiwać, rozeszli się w rytm tańca, każdy znalazł sobie jakąś bogdanke na kilka minut wspólnego podrygiwania, po czym wrócili na swe poprzednie miejsca kontynuować dyskusję. Tuż przed podium umieszczono dwa rzędy krzesel. Zajmowały je dwustronne „Władcy Umysłów” nastolatki. Sami „Władcy” ucharakteryzowani nie co na Beatelesów (którzy notabene występowali niedługo w tym klubie). Kilkuastoletni chłopcy, w swetrach, obcisłych spodniach i kowbojskich, czarnych aksaminnych bucikach, sprawiali wrażenie dosko nale bawianych się współtowarzyszów zabawy. Dowcipkowali, przekomarza li się z widownią. Tak, jakże daleko czas odszedł od pięknych zabaw ze strażacką orkiestrą, z panem kapelmistrzem dyrygującym przez potraszenie okuta srebrnym laską! Nawet jakże niedawno zdawać się mo głyby czasy Papy Armstronga... Ach gdzieście wy, gdzie?

— Zanim zapłacicie, muszę was uprzedzić przyjaciele, że tamci są znacznie młodszy od was.

— OK, — będę chyba musiał pójść do geriatologa, skoro dwukrotnie w ciągu jednego wieczoru powiedziano mi, że mam za stary by słuchać beatu.

Tak, ten lokal był zupełnie inny. Młodzię dobrze i modnie ubrana, włosy jeśli długie to precyzyjnie przyczesane i świeżo umyte. Dziewczęta młodzieńcze i ładne. Zespół znacznie lepszy, taniec znacznie żywszy. Młodzię zdawała się tu bawić, tam nudzić. Może sprawiała to sama sala — tam wielka i pusta stodoła, tu betonowa, jaskrawo pomalowana piwnica oświetlona kolorowymi żarówkami oraz lampami kwarcowymi. W świetle promieni ultrafioletowych tkaniny z tworzyw sztucznych świeciły zielonkawym lub fioletowym światłem. Pobiół papierosa jarzył się blade...

W pierwszej sali, w pobliżu schodów wycinało hotubce dwóch wykiadających, wielkich, czarnych staruchów, dwudziestokilkuletnich Murzynów w eleanekach, modnie skrojonych garniturach w ciemna kratkę. Nie było tu tańca parami. Tań-

# Angielska choroba

(Fragment współczesnej powieści satyrycznej)

Na drugi dzień wieczorem słyszałem, jak panie opowiadały, że ma być „bal kapitański”. O godzinie dwunastej mieliśmy wjechać w kanał. Nie zapamiętałem nazwy tego kanału, ale prawdopodobnie to był ten prowadzący do samej Anglii. Róża włożyła czar na wyciętą sukienkę, w której wyglądała trochę jak pijawka (wolała ją w szerokiej i jasnych sukniach) i na swoją długą szyję nałożyła naszyjnik ze świecących kolorowych szkiełek. Zrobiła ten modny makijaż, co to oczy mocno podczernione zastępują wszystkie, reszta nieważna, ułożyła mi nie na łóżku, kładąc koło mojego pyszczka kostkę od kotła ta, kazala leżeć spokojnie, po czym wyszła zamykając drzwi na kluczyk. Ten wieczór dłużył się i przeciągał w nieskończoność. Od czasu do czasu zasypiałem. Zaczęłam przez sen szczeleć, ponieważ śniła mi się gruba, krótka kiełbasa, która namle przekształciła się w tłustego jamnika. Ów jamnik, większy i silniejszy ode mnie, rzucił się na mnie, pogryzł mnie okropnie, a potem porwał zębami za kark i wrzucił do morza! Ciekaw jestem, co ten sen może znaczyć? W każdym razie nie dobrego. Ciotka Róża powiada, że woda to choroba. A ja myślę, że tylko dla tych, którzy nie lubią się myć. Ja bardzo nie lubię, ale wiem, że od czasu do czasu trzeba. Stoje wówczas w wannie z miną męczennika, a moja pani szoruje mnie szamponem i rękawicą. Potem owija w kocy i kładzie na moim sienniczku. Próbuje nazajutrz kaszleć, kichać i udawać zaniebionego, dwa razy mi ten numer wyszedł, ale trzeci raz Róża pogroziła mi palcem i powiedziała, że już się więcej nie da nabrać. — Spryciaro, co? Nie wiem, która była godzina, ale chyba noc w swoim największym nasileniu, kiedy wróciła Róża i uśmiechając się wszystkimi częściami twarzy porwała mnie w objęcia i zaczęła pieścić.

— Uspokój się — warknęłam niechętnie — zostawisz mnie samego w kajucie, nieomal rzucając na pastwę fal morskich, a potem się łasz.

— Pójdziemy na pokład, Floreczku! Zeskoczyłem z łóżka i zacząłem merdać ogonem na znak zadowolenia i aprobaty. Róża włożyła płaszcz, chustkę na głowę, mnie zaś starała się wpakować do swojej ręcznej torby. Nie chciałem, trochę na przekór, a trochę dla figli. A w ogóle nie wiedziałem, dlaczego o tej późnej porze nie mogę wyjść na pokład bez tych ceregieli. Jak gdyby odgadując moje myśli, Róża rzekła: — Nie mogę puścić cię luzem, Florcu, ponieważ wszyscy pasażerowie będą chcieli oglądać wjazd do Tamizy i na pokładzie będzie sporo osób. — Miała rację, wszyscy wylegli na pokład i oparci o barierę spoglądali na zarysowujący się w ciemności brzeg. Stał jak zwały jak pies do kściecyca. Koło nas stanęła nasza Szkotka, uśmiechnęła się do torby, w której leżałem zwinęty w kłębek, wsunęła rękę z cukierkiem przez szparę nie docięgniętego zamka.

— Masz, biedny Florcu, na pociechę! — Czy ten brzeg Wielkiej Brytanii nie przypomina pani czeskiej biżuterii, naszytej na czarną aksamitkę? — zauważyła Róża. — Nie, dlaczego? Szkoda, czeska biżuteria wszędzie jest taka droga. Myślałam, że w Polsce będzie tańsza, ale gdzie tam... Za to z angielskich materiałów, przywiezionych przeze mnie, uszyłam sobie w kraju wspaniałe kreacje. Wszystkie moje przyjaciółki

będą mi zazdrości. Robocizna w Polsce jest szalenie tania, na Zachodzie tylko milionerki mogą sobie pozwolić na suknie uszyte na miarę. Ale mamy za to wspaniałą konfekcję do koloru, do wyboru i... do figury. Tylko niech pani nie kupuje przed okresem świątecznym, dopiero potem, na wyprzedzających na tak zwanych „soldy” — niesłychana różnica w cenie.

Czułem, że Różę męczy ta babska panina i że wolałaby napawać się tym niecodziennym widokiem w głębokim milczeniu. Ja spojrzałem raz i miałem dosyć, wciąż to samo... A w ogóle byłem głodny i potrzebowałem siusiu. Do naszej grupy zbliżył się pan Bolcio, którego zaraz wyczułem po zapachu.

— Będziemy tak jechać Tamizą do białego rana — rzekł — może panie zapala play-ers'a. — Przed nosem mignęły mi czerwone światła zapalniczki, odwróciłem głowę, ponieważ nie znoszę dymu.

— Aha, — roześmiał się Bolcio — oto i nasz pasażer na gapę. Przed odprawą celną wżem łobuza do siebie.

— Pan jest nadzwyczajny! — rzekła Róża i puściła w jego stronę serię zabójczych spojrzeń. — Dlaczego pan jest dla mnie taki do-bry?

— Nie dla pani, tylko dla niego. Strasznie sympatycznie drań z tego kundla. — Niech go pan tak nie nazywa. On jest przekonany że jest najbardziej rasowym jamnikiem pod słońcem.

Bardzo nie lubię, gdy Róża w ten sposób wyśmiewa się z moich poniekąd słusnych ambicji. Z przodu jestem na pewno rasowym jamnikiem, a z tyłu można mnie nie oglądać...

Do naszej grupki zbliżył się młody pasażer, który od początku naszej podróży miał moją panią „na musce” (gdzieś słyszałem to powiedzenie i spodobało mi się, znaczy „miał ją na oku”). Nie lubię obcych mężczyzn, więc zacząłem warczeć: wrr, wrr, wrr rozległo się nagle z ręcznej torby.

— Co takiego? — zdumiał się pasażer — tak jak gdyby gdzieś pies zawarczał.

— Ja wiozę dla mojej siostrzyczki zabawkę — pieska, który za naciśnięciem warczy — skłamała Róża z całą swobodą.

— Och, niech mi pani tę zabawkę pokaże! W tym momencie nie wytrzymałem i... z torby pociekło...

— Coś pani cieknie z tej torby — zawołał pasażer — pewnie butelka z lemoniadą się otworzyła!

Szkotka i pan Bolcio zaczęli się tak śmiać, że o mało się nie przewrócili.

— Ojej! Rzeczywiście! — zawołała Róża — bardzo państwu przepraszam, odniosę tę torbę do kajuty i zaraz wrócę...

\*\*\*

Wróciliśmy na pokład o wiele później, przepasawszy się kilka godzin. Wczesnym rankiem Róża wzięła mnie do łazienki. Na puściła do wanny gorącej wody i poczęła się mydlić i szorować od nóg do szyi. To jest też jedno z ludzkich obyczajów, zupełnie obce mojej psychice. Co oni w tym widzą przyjemnego? Ponieważ nachlapała na kamienną posadzkę, więc pomyślałem sobie: „idź złoto do złota” i podniosłem nóżkę... Róża nie skarciła mnie, tylko się roześmiała, jak to ludzie mawiają: „srebrzyście”. Wróciliśmy do kajuty (ja zapakowany szczerze w jej włochaty ręcznik kąpielowy), po czym moja pani zaczęła szczykować się do wyjścia. Należała swój płaszcz podbiły białym barankiem, w którym wyglądała młodzieńczo, a na głowę czapę z polarnego lisa, której włosy opadały jej na twarz przypominając mi jedną suczkę maltańska rzadkiej urody. Podniecony tą bielą wychleptałem całą miseczkę mleka, którego przedtem nie chciałem tknąć. Nie wiem, dlaczego Różę cieszy to niezmiernie, gdy ja piję mleko. Prainstynkt macierzyński, czy co?

— Pił, pił, Floruchna, może ci jeszcze dolać?

Podziękowałem, odwracając łepkę z podgardla.

Zapakowała mnie do swojej przekłetej torby i wyszliśmy na pokład. Dużo osób stało opartych o barierę spoglądając na Londyn, który się już zaczął. Miasto jak miasto, stare, brudne — pomyślałem, dyskretnie wycierając z nie domkniętej torby. Warszawa o wiele

piękniejsza! Nasza szkocka znajoma podeszła do nas trzymając małą Magdę za rączkę. Dziewczynka wyspana i rumiana wyglądała jak świeży pączek... z cukierkami na Moko-towskiej.

— Gdzie Florek? — zapytała z niepokojem. — Nie mów tak głośno — upomniała ją mama — he is there in the handbag!

— Oh, I see! Odsunęła jeszcze dalej błyskawiczny zam-pek i wsunęła mi do pyszczka czekoladkę, za co polizałem ją w rączkę, pachnącą masłem i miodem.

— Rozmawiam z nią raz po polsku, a po-tem znów po angielsku — rzekła Szkotka, — aby jednego i drugiego języka nauczyła się perfect.

— A czy te oba języki nie pomylą jej się? — zapytała Róża...

— Na razie mieszają polskie słowa z angielskimi, ale jest przecież jeszcze taka malutka. Chcę, aby moje dziecko — w tym miej-scu podniosła podbródek do góry — nie za-pomniała, że jest także Polką.

— Niech pani spojrzy — rzekła Róża z za-chwytem — Londyn wygląda w tej różowej mgłę jak z obrazów Turnera. Ten wielki malarz widział go takim, jaki jest napraw-dę... Tajemniczy, zamglony, trochę niereal-ny...

— Turner, nie znam — odparła obojętnie dama.

Do naszej grupki zbliżył się pan Bolcio i natychmiast wsunął do mojego więzienia rękę z kawałkiem kiełbasy. Oceniam, gdy ludzie pragną wkręcić się w moje łaski.

— Spójrzcie państwo, już widać Tower — rzekł Bolcio — Bloody Tower (krwawy), jak go sami Angliacy nazywają. Groźny, co?

— Jakże to wstrząsające — rzekła Róża — Tower wygląda, jak gdyby był zbudowa-ny z ludzkich kości, a kopuły tych czterech wież przypominają trupy czaszki, niepraw-daż — zwróciła się do Szkotki.

— Eee, nieee, nie uważam...

— I dlaczego — ciągnęła Róża w jakimś upojeniu twórczym — na każdej z tych wież sterczą czarne chorągiewki, jak gdyby za-łoba po dawnych krwawych dziejach Anglii. Jakież to dziwne i do niczego niepodobne.

— Styl Tudorów — objaśnił spokojnie pan Bolcio, zapalając papierosa.

— Boję się — odezwała się znów Róża — że nie poznam na przystani oczekującej mnie zapewne mamy. Nie widziałymy się piętna-scie lat...

— Ona na pewno pani nie pozna, była pani wówczas chyba małą dziewczynką...

— Miałam pięć lat.

— A ja mam pięć and half! — wtrąciła Magda z dumą.

— Czy panie wiedzą — rzekł Bolcio — że po dziedzińcu zamku Tower spacerują kru-ki.

— Widziałam je — wykrzyknęła Szkotka — there are sweet!

— Nie powiedziałbym — roześmiał się Bol-cio — jeden z nich, tak zwany mr. Crow, rzuca się na turystki i dziobie je w łydki, więc takie są nadto słodkie nie są.

— Co za wspaniały reżyserski pomysł — wtrąciła Róża.

— Na tym dziedzińcu, gdzie ścięto głowę Anny Boleyn i ten pieniek podobno dotych-czas istnieje, spacerują te żalobne ptaki.

— Jest taki przesąd — rzekł Bolcio — że Tower rozsypie się w gruzy wówczas, gdy zginie ostatni kruk, strażnicy więc dbają o nie, karmią i zapewniają im nocleg. Do-jeżdżamy do Tower-Bridge, za chwilę do-bijemy do przystani. Ale skrzyż w porcie jak mrówków! — zawołała. — To wszystko dla nas na przedlunek.



## MIECZYSLAWA KAUT

## Chagall

wyfrunął zegar z kukułką  
w powietrze  
skrzyjce jedną nutę piszczały  
strun nie miały  
i piszczały nutę

zszedł z obrazu  
żyd z brodą siwą  
czemu zapytał  
zszedł  
złoty palcami brodę szarpał  
kwadratowe litery ze stron wyskutał  
czemu zapytał  
nie z tych ksiąg nie rozumiesz  
zła jesteś  
oj bardzo zła

jak z wiśniowego drzewa  
pusty korpus skrzypiec  
serca nie miałam

wrócił na obraz  
okiem jednym zielonym popatrzył  
i kochankowie  
kate i achusn  
obok zegara przepłynęli

narzeczonemu długie pejsy  
na struny wiatr rozczesał  
chałatem nocy otuleni  
wiszą w powietrzu

## GENOWEFA KARASIEWICZ

\* \* \*  
Mój dziadek  
miał kapelusze  
szerokie spodnie  
i czarne włosy

miał konia, psa  
i kryję z sianem  
kim byłże dziadku  
już wiem — Cyganem

\* \* \*  
Nie nie mam  
prócz świąta  
wiatru i brzozywej wody

Nie nie mam  
prócz oczu  
włosów i spojrzania  
Ze słów buduje  
dla ciebie  
czerwone ogrody  
W których słońce  
będzie  
symbolem wspomnienia

## HALINA ZIELIŃSKA

\* \* \*  
MAMIE

Jeśli wargi spopielate  
nie mogą wymówić  
słów  
pedzających pod światło  
rozsiadają niecierpliwie cienie

jeśli deszczu nie pamiętasz  
i jeśli czasu nie potrafisz odnaleźć  
to przecież jesteś  
głogiem  
uczającym dłoni ciepłej  
gdy z ciała żywego  
rodzi się ziemia

## TADEUSZ SZEWEA

# Jędrusiowe PIOSENKI

Jakkolwiek działalność dywersyjno-partyzancka „Jędrusiów” datuje się od maja 1941, to jednak pierwsze piosenki oddziału powstają dopiero pod koniec tego roku, to jest w październiku, listopadzie i grudniu. Nie są to oczywiście piosenki w pełnym tego słowa znaczeniu — „jędrusiowe”. Trzeba bowiem pamiętać, że oddział wyrósł na gruncie organizacji wojskowej i prasowej „Odwet” powstał w 1939 roku i że jego pierwszy dowódca „Jędrus” był jednocześnie twórcą „Odwetu”. Głęboka więź ideowa łącząca członków grupy bojowej właśnie z Władysławem Jasińskim oraz z macierzystą organizacją, nie tylko w tym okresie początkowym, ale również do końca istnienia „Jędrusiów”, wyraźnie kształtowała charakter oddziału, a tym samym i jego twórczość piosenkarską i poetycką. Co więcej — miała wyraźny wpływ na treść tej twórczości.

To powinno wyjaśniać, dlaczego niektóre piosenki tak w tytułach jak i w treści mó-

wią o „Odwiecie” i o jego „szarych plutonach”.

Najstarszym z tych śpiewanych „dokumentów” jest „HYMN ODWECIARZY”, napisany przez „Boba” Zbigniewa Kabatę przy współudziale kilku innych członków oddziału „Jędrusia” na „melinie” u „Michałka” Michała Przybyłki w Kolonii Józefów k/Wiśniowej (obecnie pow. Staszów). Tu mieszła się wówczas Centrala Prasowa „Odwetu” i naczelna redakcja pisma, tu również prawie co tydzień jeżdżali się — kwaterujący po różnych okolicznych wsiach — ci członkowie oddziału „Jędrusiów”, którzy wówczas spełniali jednocześnie jeszcze funkcje kolporterów i współpracowników redakcji. „Hymn” mówił o sytuacji „Odweciarza” w okupowanej Polsce i o zbliżającej się ostatecznej rozprawie z wrogiem, na którą pójdzie „jak jeden maż... podziem na i ukryta dziś armia Odwetu”. Melodia oczywiście była stara, z okresu międzywojennego.

## HYMN ODWECIARZY (FRAGMENTY)

Podziemny i szary nasz trud,  
Ciełkim jarmem barki nam gnę,  
Wiara w zmartwychwstania Polski cud,  
Zarem sere naszych technie.  
Na Warcie my jak jeden maż,  
Jak psy wciąż ścigani i tropieni,  
Lecz niezłomnie wierzymy wcięż,  
Ze przyjdzie czas, a wtedy wszystko się odmieni,

Zabrzmie swobodny już „Odwetu” zew,  
Matka Polska otworzy oczy,  
I popłynie obfita struga krew,  
Którą hojną dłonią każdy z nas wytoczy.

Wtedy poprzez śmierć, ból i łzy,  
Przez bomb huk, świst kul i ryk dział,

Pójdziemy ku wolności — my,  
Ściełacz jej drogę z ciał.  
Ojczyznę najświętszy nasz znak,  
Poniesiemy na ostrzach swych bagnętów,  
I w radosny wyruszy szlak,  
Podziemia i ukryta dziś armia  
„Odwetu”.

Na tej samej kwaterze u „Michałka” powstała również w roku 1941 żartobliwa piosenka o doli „Odweciarza”. Autorem znówu w zasadzie był „Boba”, ale i pozostali „Odweciarze” dopisali coś niecoś do piosenki, opowiadającej z humorem o perypetiach konspiratorów. Jednocześnie „Dola Odweciarza” kpiła i sztydziła z gestapowców, esesmanów oraz policjantów tropiących tak „Jędrusiów”, jak i „Odweciarzy”.

## DOLA ODWECIARZA (FRAGMENTY)

Rzadko się na tym świecie przydarza,  
Dola tak zła jak „Odweciarza”.  
Na biedaka tego cała zgraja,  
Po wszystkich kątach się zaczaja:  
I policaję i ci z gestapo,  
No i SS, no i SD.

Jedziesz bracie z matrycami a dala,  
To ci w rowerze coś nawala,  
Cheesz to sobie poprawie kolego,  
Lecz pewnie nie nie będzie z tego.  
Bo już gromada, z wielką „paradą”,  
Panowie jadą... z gestapo.

Wtedy bracie za pas bierziesz nogi  
I wieszsz na rozstajne drogi.  
Ledwie znów ci się uciec udaje,  
Kupa mundurów w drodze staje:  
I wola „staj” — i wola „staj”!  
To ci dopiero policaj.

# NA SCENIE OPERETKI „SEWASTOPOLSKI WALC”

Operetka znajduje się w nieco lepszej sytuacji niż opera. Bo wprawdzie o jednej i drugiej mówi się, że to przeżytek i anachronizm, ale na operetkę publiczność chodzi chętnie i licznie, niezależnie od wypowiedzi uczonych teoretyków. Oczywiście chodzi wówczas, gdy się jej przedstawienie podoba. Tak więc czy owak teatry operetkowe muszą głowić się nad repertuarem i jego aktualizacją. Młodsze pokolenie widzów raczej niechętnie ogląda przygody bohaterów w buduarach hrabin. Chodzi więc o to, aby akcję wyprowadzić z tych buduarów i salonów. Dotychczasowe starania ograniczyły się do ulokowania pięknej Heleny w środowisku handlarzy i spekulantów, a jej powodzenie podtrzymywało trzeba było strip-teasem. Skąd więc czerpać wzorów, gdy zawodzą rodzime muzyki? W Stanach Zjednoczonych operetka jako gatunek w zasadzie nie istnieje. Jej miejsce zajmuje „gentylny show”, rewi i musical. W Związku Radzieckim kompozytorki sięgają do motywów muzyki ludowej, a libeciści do życia współczesnych. To już coś, ale sięgając po ten materiał uwzględnić trzeba tradycje kulturalne, adresatę czyli publiczność o określonych gustach i nawykach oraz konkretne możliwości realizacji dzieła.

Operetka Łódzka wystąpiła ostatnio z premierą współczesnej pozycji kompozytora radzieckiego Konstantego Listowa. Listow jest nie tylko znanym i cenionym kompozytorem, autorem oratoriów i utworów symfonicznych, kilkunastu operetek i paruset pieśni, ale także byłym żołnierzem. W czasie ostatnich wojny pełnił funkcję konsultanta i oficera marynarki wojennej. Z bohaterstwem stykał się na co dzień, wspomnienia tamtych czasów pozostały mu drogą i bliską. Pod ich wpływem skomponował pieśń „Sewastopolski walc”, która w Związku Radzieckim zdobyła sobie dużą popularność. Wówczas powstał projekt stworzenia operetki o muzyce opartej na motywach tej pieśni. Tak powstał „Sewastopolski walc”, wystawiony dziś w Łodzi jako prapremiera polska. Muzyka operetki jest melodyjna, miła dla ucha, oparta na motywach ludowych rosyjskich i ukraińskich. Widzowski zawiera wiele momentów lirycznych, wiele ciepła i swobodnego humoru, sporo naiwnego wdzięku. Ale kryje też sporo rafa, których ominięcie wymaga zręcznego dobrego przekładu, starannej koncepcji reżyserskiej oraz dużego taktu w ujęciu pewnych scen.

Już sam pomysł libretta jest bowiem dość ryzykowny. Wojsno w operetkach oglądaliśmy wprawdzie, ale przeważnie były to wojny trojańskie, do których łatwo podchodzić z operetkowym dystansem z wielu powodów, a m. in. tym, że teczyły się bardzo dawno. W „Sewastopolskim walcu” i akt toczy się podczas wojny, którą jeszcze

dobrze pamiętamy; a akcje umieszczono w Sewastopolu, przez 7 miesięcy oblężonym przez Niemców, miejscu krwawych, ciężkich bitew. W zasadzie jest to temat ryzykowny dla operetki, przynajmniej takiej, do jakiej jesteśmy przyzwyczajeni. Dlatego połączenie aktu i jednolitej koncepcją z pozostałymi aktami, których akcja rozgrywa się już po wojnie w beztrudnych, a przynajmniej pogodnych warunkach powojennych, wymaga dużej zręczności, taktu i umiaru.

Jedną z tych rafa do ominięcia jest więc dobór właściwej obsady. Bądź co bądź ludzie przychodzą do operetki wyłącznie po to, żeby się pośmiać. A aktorzy, których od lat oglądają na tej scenie kojarzą im się z określonymi sytuacjami. I dlatego chyba Janusz Duński jako doński kawalerzysta czy Jerzy Sidorowicz jako sewastopolski bohater budzą, jak się to mawia, „uczucia mieszane”. Nie chciały bym być źle zrozumiana, nie jest to zarzut pod adresem tych i innych utalentowanych aktorów. Takie jest prawo aktorzyckiego emplot i na to nie ma rady.

Tadeusz Cygler nazwał swą pracę nad tym przedstawieniem opracowaniem scenicznym. Nie wiem jak się ma opracowanie sceniczne do reżyserii i inscenizacji, czy to więcej czy mniej. W każdym razie udział reżysera wydaje się zbyt mały. Tu i ówdzie potrzebny był ołówek dla dokonania skrótów i wygładzenia niezręczności i natłoczenia tłumaczenia (ach te częstochowskie rymy w pieśniachka Juliana Tuwima i w tej z górą trydziestu lat temu). Niezbyt mocna konstrukcja dramaturgiczna libretta rozwiniona została przydatnymi baletami (choreografia Sielli Pokrzywińskiej), z których zastrzeżeń nie

były bodaj tylko dwa: „Zaścisk” i „Balagury”, układ „Ich pierwszego bału” był wręcz nieestetyczny. A wszystko to sprawiło, że całość trwała ponad trzy i pół godziny.

Nie najlepiej czuli się chyba i wykonawcy. Operetka Łódzka ma solistów, którzy są nie tylko dobrymi śpiewakami, ale także doświadczonymi aktorami, z całą swobodą poruszającymi się na scenie. Tutaj, dobrze muzycznie i wokalnie przygotowani (dierownictwo muzyczne Beaty Ambros), aktorzy byli skrepowani i nie naturalni prawie wszyscy. Sztuczny patos i teatralne gesty często towarzyszą wielu kwestiom. Efekt jest paradoksalny. Współczesna i opowiadająca o życiu współczesnych prostych ludzi operetka obciążona została wieloma grzechami manier operetek z życia „wyższych sfer”.

\* \* \*

Operetka Łódzka ma duże ambicje i dużą salę. Z ekonomicznego punktu widzenia salę tę trzeba wypełnić, z artystycznego — wypełnić dobrymi pójzycami, co w gruncie rzeczy jest prawie jednoznaczne, bo jak wiadomo publiczność recenzuje nogami — albo przychodzi, albo nie. Nasza Operetka przyjęła nazwę Teatru Muzycznego, co sugeruje dużą elastyczność repertuarową: i operetkę klasyczną czy współczesną, ale starannie przygotowaną i zaadaptowaną i komedię muzyczną, musicali czy rewię. Trudno o taki repertuar, to prawda, ale trud poszerzenia oplatyby się chyba wszczęstroinnie.

T. WOJCIECHOWSKA

\*) Libretto: Jelena Halperin i Julia Annienkow.



W PRACOWNI MALARZA

Adam Muszka — „Ślub”

Szybkobieżna winda niemal przenosi na najwyższe piętro wieżowca, ukoronowanego połyskliwym szkłem ścian mieszczących się tu pracowni malarskich. Nowoczesność w każdym calu, co podkreśla kubatura ciasnych korytarzy i ograniczonych powierzchni podestów, prowadzących do pracowni Adama Muszki.

Wchodzę do wnętrza, które by scenograf przemysłał dla „Cyganerii” Pucciniego. Wrażenie potęguje panorama części miasta, widoczna z płaszczyzny szklanej ściany. Mimo woli rozglądam się, czy nie ujrzę, typowego dla fin de siècle'u, malarza w akşamniej kurtce i spoglądam ku antresoli. Być może, po schodach prowadzących na tę małą oddzielną od całości, platformkę, wbiegła przed chwilą Mimi?..

Ten moment, kiedy malarzka cyganeria wyłoniła się z łanego rodzaju sztuki, bo opary, jest tak przelotny, że nie przesłonił realii współczesnej pracowni malarskiej. Po schodkach, po których wbiec mogła rozpięta Mimi, wstępuję na antresolę i oparta o balkonowe ogrodzenie, spoglądam na zawieszzone na przeciwległej ścianie obrazy. Jest ich wiele. Pokrywają całą rozległą ścianę aż do sufitu, tak, że można je oglądać wygodnie z tego poziomu antresoli.

Obrazy Adama Muszki, to już konkretnie wypracowany styl, po którym poznaje się autora. Nie mówię o swych technikach, tak zdradzającej wpływ nurtu i tematyki Marc Chagalla. Tu chodzi o coś specyficznego, o coś, co nie odchodzi od re-

alizmu, nie pozbawione jest romantyzmu treści.

Adam Muszka maluje i dzi i — powiedziałabym — sprawy, które uchrociłby chęć do zapomnienia. Tymi ludźmi z ich sprawami, są mieszkańcy prowincji. Żyją, obserwujący z wyjątkiem swoich ojców i praojców. To ludzie, którym w ciężkiej pracy nie dającej pewności utrzymania rodziny, przyświeca nadzieja czerpana z przypowieści, nakazów religijnych, obyczajów.

Też impresji w tych płótnach, które nie tylko przekazują sytuację, ale również myśl, pamięć i uczucie, trochę ciekawą, pragnienia.

Oto scena ślubu. Oto postać ciociwody, obrazu w którym wszystko jest prawdziwe — nawet reminiscencje odbite w polowie waler. Oto uliczka z perspektywą na dalsze domy mieszkalne — w którym się żyło. Oto scena „koszerowania” sprządek — przed światem Wielkonoconym.

Też tych pełnych „prawdziwości” znamion środowiska można by z zawieszonych na ścianie pracowni Adama Muszki, spostrzec! Tacy ludzie żyli w małych polskich miasteczkach. Ci sami, którzy borykając się w biedzie, w filozoficznym stosunku do życia, wierni byli obyczajom tego środowiska, które nie przetrwało strasznej próby hitlerowskich gett i innych obozów koncentracyjnych.

Niech przynajmniej wieść, pamięć o tych obyczajach i zwyczajach zostanie — powiada artysta. Adam Muszka, któremu dane było bezpośrednio poznać tych obyczajów i ich źródeł.

J. SAKOWICZOWA

# LISTY do REDAKCJI

**KOCHANA REDAKCJO!**

W „Odgłosach” z dnia 6/II 66 r. przeczytałam felieton „Ludzie patrzy”, wiernie odwołujący się do turystyki. Moja córka właśnie jeździ jako pilot autokaru, póki nie jeździła na te wycieczki, była dobrą żoną i matką, ale teraz dom opuszczony, dzieci zaniedbane, a zięć który jest naprawdę dobrym człowiekiem jest przysiębnym, przekładając córce do niepotrzebnych, bo zięć zarabia 3.800 zł, nie pije, jest domatorem, kocha dzieci, ja też pomagam, bo mam ja jedyna, mam ładne mieszkanie, umeblowane, telewizor i w ogóle wszystko co potrzebne do gospodarstwa, a przecież dwoje dzieci 8 lat i 4 lata to trzeba wychowywać, ja nie mam cierpliwości, i siły, a córki nie ma nieraz i po 10 dni. Jak wzięła wycieczkę do Czechosłowacji. Kochana Redakcjo, na te wycieczki to jada nie tak żeby coś zwiędzić, ale żeby się wyżyć i zahandlować, jak córka opowiada nam, że w autokarach mają takie skrytki i dopiero przewożą kontrabandę albo

mówiła, że raz była „Spółdzielnią Inwalidów” to nabrali z magazynu dziewiarstwa i dopiero w Czechach sprzedawali i wszystko piło wóde, córka tego nie robi bo jest przyzwyczajona kobieta ale zięć twierdzi, że się tłucze po hotelach i to mnie przyprowadza do rozpacz. bo jak się rozejda, to co te biedne dzieci zrobią, ja jestem stara, mam 66 lat, schorowana, a córka jedna, nigdy nie lubiła tak bardzo pracować i moja wina w tym była, ale gdyby nie ta przeklęta praca pilotki, która się nadała dla pannie albo dla rozwódek a nie dla młodych mężatek a potem to rozwody jakby to córka wiedziała, że ja tak piszę to by się na mnie obraziła na śmierć, ale cóż wiem, że to mi nie pomoże, ale chociaż niech prasa wie jak jest naprawdę.

ZROZPACZONA MATKA

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE

Z nieznanym mi powodów Redakcja dokonała skrótów

w mojej recenzji „Dwa wieczory na piętorku”, drukowanej w 7 numerze „Odgłosów”. Ponieważ odrzucono fragment zawiera dalszy ciąg moich rozważań, uprzejmie proszę o przedrukowanie następującego fragmentu, który zamyka recenzję:

„Rzekło się jeszcze, że teatr bulwarowy żyje i prężnie atmosfera widowni. I znów nie w ogródek teatru kamycz. Zda się, iż też publiczności, która kiedyś oklaskiwała farsę, dziś już nie ma, a ci, co chcą mieć kontakt z życiem, ulicą, kawiarnią — szukają tych emocji w kabaretach, w teatrykach studenckich, w piwnicach. Toteż dziwnie mi się kłóci nastroj publiczności w foyer podczas przerwy w obu spektaklach, z nastrojem, panującym na wygaszonej sali.

W świątlich wszyscy byli jakos sztywni, wystudzeni — czyżby kontemplowali? Stałem i ja, ni siaki ni owaki, patrzyłem jak raczone się cienkuszami cytrusowymi. Pomyślałem nagle: a może by urozmaicić menu. Parówki, kufelki, szklanecka, co?!

„Od niepamiętnych czasów byłoby zadaniem teatru jako i sztuk wszelakich, ludziom rozrywkę serwować. Misja taka-wa zawsze mu szczególnego splendoru używać”. Niechże ten cytat z Brechta, przełożony przez L. A. Dmuszewskiego, będzie pochwałą rozrywki poezycywej w teatrze i jednocześnie

nie rozgrzeszeniem moich swawolnych propozycji”.

Z wyrazami szacunku  
STANISŁAW KASZYŃSKI

W SPRAWIE FRASZEK

W numerze „Odgłosów” z dnia 20 lutego b.r. ukazały się na ostatniej stronie cztery fraszki podpisane moim nazwiskiem i opatrzone tytułem dodanym przez Waszą redakcję. Przypominam, że fraszki te zaproponowałem redakcji „Odgłosów” w drugiej połowie października ubiegłego roku i że następnie, ze względu na wspólność nie mających z ich merytoryczną zawartością, prosiłem, aby je wycofać (t. zn. zniszczyć mój maszynopis) w rozmowie telefonicznej z zastępcą redaktora naczelnego, odbytej dnia 10 listopada ub. r. Zamieszczenie fraszek w tym miesiącu później, poza moją wiedzą i zgodą, uważam za akt co najmniej niełojalny.

STANISŁAW BRUCZ

OD REDAKCJI:

Fraszki, o których mowa, są tak znakomite, że szkoda byłoby nie udostępnić je czytelnikom. W tej intencji redakcja zdecydowała się je opuścić. Mamy nadzieję, że surowy Autor nam to wybaczy.

rej — po okresie walki — chcieli oddać swe siły w codziennej pracy.

Warto także przy tym dodać, że piosenka „NIE ZDOBI NAS MUNDUR”, chyba właśnie z uwagi na zawarte w niej treści przyjęła się szeroko i była śpiewana także w latach 1943—1944 z tym, że często słowa: „Odwetu plutony”... zastępowano nazwą „Jędrusiów” i śpiewano: „my szare Jędrusiów plutony”...

NIE ZDOBI NAS MUNDUR

Niesiemy ofiarę z krwi i mienia,  
Walczyliśmy jednostki broniąc mas.  
Gdy nas kładzie śmierć, to bez imienia,  
Tylko słowo „Odwet” znaczą nas.

Nam obca swoboda i beztrudny los,  
Wzrok mamy wysiłkiem zamglony,  
Lecz jedyna nas wola do boju wciąż gna,  
My szare „Odwetu” plutony.

Niesiemy ofiarę z krwi i mienia...  
(powtórzenie zwrotki pierwszej)

Niezdobi nas mundur, nie chwali nas szlab,  
Ni krzyżem z nas żaden znaczący,  
Śmierć tylko odznaczą boją nam da,  
My szare „Odwetu” plutony.

Niesiemy ofiarę z krwi i mienia...  
(powtórzenie)

Gdy bój się już skończy, gdy padnie już wróg,  
Z nas żaden nie spoecznie zmęczony,  
Do pracy w ożyźnie rzućmy swój zew,  
My szare „Odwetu” plutony.

Długi czas to trzy piosenki stanowiły jedyny dorobek „artystyczny” „Jędrusiów” „Odwetiarzy”. Narastająca ilość akcji

oraz tragiczne wydarzenia: a więc — śmierć czterechosobowej załogi Centrali „Odwetu” z inspektorem prasowym „Antonim — Szarym” Bolesławem Czubem na czele, aresztowanie i śmierć w Oświęcimiu brata „Jędrusia” — Stanisława Jasińskiego pseudonim „Sosna”, straty wśród „Odwetiarzy” spowodowane licznymi wyspami na różnych terenach, wreszcie śmierć samego „Jędrusia” — nie nastrojały członków oddziału do twórczości. Pojawiło się jedynie kilka bardzo młodzieńczych wierszyków, z rymami często nieudolnymi, poświęconymy poległemu Władysławowi Jasińskiemu, ale żadna pieśń o nim samym — w dostojnym znaczeniu — nie powstała.

Natomiast warto zwrócić uwagę na wiersz zatytułowany „PROLOG”, a napisany przez osobę ukrywającą się pod pseudonimem „Czarowny Fiel” i mieszkałacą prawdopodobnie na gajówce k/Sichowa (obecnie pow. Staszów) „Prolog” poświęcony został „Jędrusiów” i jego „chłopców z lasu”. Jest on szczególnie charakterystyczny z uwagi na legendę jaka wokół „Jędrusiów” już wówczas narastała, a także i z tej racji, że wyraża stosunek mieszkańców wsi do polskich partyzantów w ogóle oraz do ich bezkompromisowej walki z najeźdźcą na tle innych „uległych Hitlerowi” narodów. I jakkolwiek „Prolog” nie napisał członek oddziału, to przecież przytaczam tutaj ów wiersz zaliczając go chyba słusznie do „Jędrusiów” twórczości.

PROLOG (FRAGMENTY)

Gdy całe państwo drża w stóp Hitlera,  
Głowy w niewoli chowając jak strusia,  
Na naszych ziemiach walka nie zamiera,  
Drżą Niemcy w strachu, gdy jada „Jędrusie”

Drży dumny Franku na zamku w Krakowie,

Potrójnie warty siebie nie zastoniaj;  
Choć gestapowców otacza cię mrowie,  
Choćaj Führera prawą jesteś dłońią,  
Zginiesz ze strachu zatruty ja myślą,  
Gdy ci „Jędrusie” wyrok śmierci przysła.

Legenda ludu w to głęboko wierzy,  
Ze w grupie „Jędrków” sami oficerzy.  
Orły na czapkach, o boku granaty,  
Wisy za pasem na czarnej pelticy,  
Walczą z najeźdźcą, szpiegostwem napadem,  
W noc i we dnie służąc Polsko Tobie,  
Sława wśród kmieciów idzie wciąż ich śladem;

Krzyże dostają po śmierci — na grobie,  
A chociaż czasem celna kula wroga  
Mundur i pierś „Jędrusia” przewierci,  
To dusza „Jędrka” nie idzie do Boga,  
W ciele zostaje i „Jędrusie” ożyje —  
Za dwa miesiące znowu Niemca bije!

Kolejny, bardziej ożywiony okres w zakresie „Jędrusiów” twórczości piosenkarzkiej przypada na rok 1943, a zwłaszcza na maj oraz czerwiec, kiedy to oddział kwaterował w lesie k/Turska Wielkiego, w trójkacie pomiędzy Osiekiem, Rytwianami i Polańcem. Był to tzw. „okres willi”; ze zdobytych baraków zbudowane zostały w lesie wygodne kwatery, samo zaś obozowisko bardziej przypominało trwałe biwak harcerski, niż czasowe miejsce postoju partyzantów. W tych „willach” narodził się w czerwcu 1943 roku „HYMN JĘDRUSIÓW” zatytułowany „Kto życie ze śmiercią sprząga”, przed którym musiała ustąpić pierwszeństwa piosenka „Niezdobi nas mundur”. Wszyscy w oddziale odczuwali potrzebę takiej pieśni, zdecydowanie wyrażającej idealizm i dążenia partyzantów „Jędrusia”. Myślę, że Zbyszowski Kabacie pseudo „Bobo” — auto-

rowi tego nowego „hymnu” — udało się to w pełni osiągnąć. Pieśń — „Kto życie ze śmiercią sprząga” — uzupełniła zdecydowanie to, co w sposób jeszcze może nieśmiały wyrażała w swej treści piosenka, napisana na początku 1942 roku — „Niezdobi nas mundur”. W każdym razie na pewno obie mówiły prawdę o postawie moralnej „Jędrusiów” i idealach, przekazywanych im w niepisany „testament” przez pierwszego dowódcę i szefa — Władysława Jasińskiego. Tym ideałom oddział starał się być wierny do końca swej partyzanckiej działalności.

HYMN JĘDRUSIÓW

Kto życie ze śmiercią sprząga,  
Ten prawo ma gwizdać na ten świat,  
Nam nie strasza germańska potęga,  
A kula nam w czerpie wierny brat.

Naprząd, naprzód wciąż dążymy,  
Do celu wrót,  
I śmierci w pysk wprost patrzymy,  
Naprząd, naprzód, naprzód.

Niech brzechacze się pasa, a skapey biał trzos,  
Dyplomata o sławie niech śni,  
A — my...  
Pełnym brzuchem i trzosem śmiejemy się w głos,  
A sława leży nam jak pies u drzwi.

My „bandyci Jędrusia” więc wszystko jedno nam,  
Dole przyjmie czy dobra, czy zła,  
Choć na drodze nam stanie diabeł sam,  
Śpiewamy zawsze nasza piosenka ta.  
Naprząd, naprzód, wciąż dążymy,  
Do celu wrót,  
I śmierci w pysk wprost patrzymy,  
Naprząd, naprzód, naprzód.

# DWUZNACZNOŚĆ SUMIENIA NARRATORA

Zbigniew Nienacki, próbujący swoich sił zarówno w dramacie jak i w prozie, jest autorem zadziwiająym. To znaczy: jako prozaiak zadziwia swoimi dramatami, a jako dramaturg zadziwia swymi powieściami. Czytelnik i odbiorca jego dzieł teatralnych zastanawia się bowiem, jak twórca „Termitery” napisał powieść „Z głębokości”, albo w jaki sposób autor „Golema” może być zarazem twórcą „Sumienia”.

Znane są w historii literatury przykłady pisarzy, którzy wypowiadali się zarówno w epice jak i w dramacie. Ale zawsze w takich wypadkach da się ustalić pewne wspólne cechy praktykowane przez danego twórcę obu rodzajów literackich: takimi cechami bywają na przykład: obsesje tematyczne, wspólność petyki, z jakiej wyrasta proza i dramat, parolenność struktury bohaterów, podobne w obu rodzajach uosunkowanie się twórcy do rzeczywistości itp. Dość trudno byłoby jednak farsować „Termitery” zestawiając z psychologizmem „Z głębokości” lub tragiczną absurdalnością „Golema” z moralizmem „Sumienia”.

Pod pewnym względem Nienacki podobny jest do Giraudoux, ale to tylko dlatego, że ten ostatni napisał roman à clef, jakim jest „Bella”: jednak w twórczości Giraudoux — dramaturga — „Bella” jest sporadycznym wyjątkiem, natomiast w piśmarstwie Nienackiego — dramaturga — „powieści z kluczem” są zjawiskami permanentnymi.

Nie naszą jest rzeczą rozszyfrowywanie postaci występujących w najnowszej powieści Nienackiego „Sumienie”. Wydaje się jednak, że warto by pokusić się o rozszyfrowanie postaci głównego bohatera powieści — Piotra, ponieważ zabieg ten mógłby nam nieco powieść o samym warsztacie prozaickiego autora, o zaletach lub wadach tego warsztatu.

Trudno nie domyślić się, że pod postacią Piotra ukrywa się sam autor „Sumienia”, tym bardziej, że jest faktem znanym, że Nienacki — podobnie jak jego bohater — był ławnikiem sądowym. Można więc stwierdzić z dużą dozą prawdopodobieństwa, że przemieniając czy nawet wypowiadając Piotra są portre — parolenymi ekwiwalentami samego autora. Osobowość narratora funkcjonuje wobec tego w „Sumieniu” niejako na dwóch płaszczyznach. Jedną z nich jest obiektywny plan klasycznej narracji epicznej, a drugą subiektywna struktura doświadczeń i przeżyć głównego bohatera. Zastanawia się przy tym jednak należy, do jakiego

stopnia taka konstrukcja narracji jest świadomym zamysłem odautorskim. Jeśli bym jednak założył taką świadomość autora, to nie unikniemy przy tym pojęcia, że



Zbigniew Nienacki w karykaturze Ibis-Gratkowskiego.

konstruowanie postaci Piotra dla wyrażenia pewnych osobistych doświadczeń autora, jest tylko przykrywką służącą zakamuflowaniu subiektywności własnych sądów, jest tylko bardzo naiwną próbą narzucenia odbiorcy przedwzięcia o obiektywności tych sądów. Używanie w pamiętnikach i autobiografiach formy trzeciej osoby nie jest pomysłem ani nowym, ani oryginalnym, a świadomy takiego chwytu czytelnik zaczyna wóczas prawie że mimo woli domyślać i rozpatrywać płycizny myślowe już nie bohatera w ten sposób skonstruowanego, ale samego ja autorskiego. Jeśli by z równą podejrzliwością badać wszelkiego rodzaju „chwyt” i „srodki” autorskie stosowane przez Nienackiego w „Sumieniu”, odkrył by można bardzo wiele podobnego rodzaju uproszczeń warsztatowych.

Jako przykład wystarczy wziąć problem konkretności miejsca, czasu i osób występujących w powieści. Można ustalić z dużym prawdopodobieństwem rzeczywiste nazwiska bohaterów „Sumienia”, można z zupełną pewnością wskazać rozprawę sądową, w której uczestniczył Piotr — jako ławnik, można określić zatem również konkretny czas

akcji oraz miejsca, gdzie toczą się opisane wypadki, ba! — nawet wskazać pokój redakcyjny, w którym pracował główny bohater. Konkretność ta, zupełnie niepotrzebnie nadająca dziełu charakter powieści z kluczem, może być również tłumaczona tendencją autorską do maksymalnego uprawdopodobnienia i obiektywizacji opisanych zdarzeń. Przy tym wszystkim jednak owa konkretność, mająca w jakiś sposób być wykładnikiem realizmu powieściowego, bywa bardzo często stawiana w pozycji co najmniej dwuznacznej w stosunku do dość mało prawdopodobnych przygód głównego bohatera. Pomijam już tutaj sprawę dość problematycznego przedstawienia konfliktu moralnego Piotra — autora, który to problem stara się on rozwiązać poprzez odwoływanie się i przymywanie wątpliwej argumentacji i sugestii innych osób. Ale jakże tu wierzyć narzucającej odbiorcy konkretności i realności opisywanych zdarzeń, jeśli na przykład autor zupełnie przypadkowo spotkał się na ulicy z dwoma bohaterami w ulicy, motywuje wypowiedź jednego z nich: „Idę ulicą, nagle zaczynam myśleć o kimś i tego kogoś natychmiast spotykam”. Tego rodzaju argumentacja — a jest takich przypadków w powieści bardzo wiele — dziwić musi nie tylko dlatego, że stosowana jest w powieści utrzymanej w konwencji tradycjonalnej, ale dlatego, że stosuje ją dramaturg, w którego dziełach właściwa motywacja struktury zdarzeniowej ma przecież generalne znaczenie.

Najbardziej konsekwentna wydaje się w „Sumieniu” struktura czasowa tej powieści. Na początku głównego bohatera ciąży bezustannie wspomnienie procesu sądowego, w którym uczestniczył jako ławnik przypięczony pod podpisem pod wyrokimi śmierci. Natrętnie zjawiające się retrospekcje z tego procesu determinują całą teraźniejszość Piotra, wplatają się w jego życie osobiste i pracę zawodową. Śmierć obcego człowieka, którą w jakimś sensie Piotr przecież spowodował, powoduje zachwianie jego równowagi i stabilizację życiową. Fakt czyjeś śmierci staje się powodem relatywizacji autentyczności życia Piotra. Jeśli konkretność w przedstawianiu tego życia ma zaświadczyć o jego autentyczności, to retrospekcyjna struktura „Sumienia” stawia owa konkretność i autentyczność w co najmniej dwuznacznym świetle. I w tym miejscu należy chyba dołożyć wartość omawianej książki.

Naczelną jednak zaletą „Sumienia” jest fakt, że powieść postawiła pytanie o zasadność istnienia kary śmierci. Zbigniew Nienacki nie daje nam jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie, ale przecież wcale tego nie oczekiwaliśmy. Ważne jest już samo postawienie tego problemu.

Zbigniew Nienacki: „Sumienie”. Warszawa 1963, „Czytelnik”.

# KRONIKA Antytelewizyjna

## OSTATNI?

W niektórych wypadkach Gorkiego można nazwać naturalistą. Brutalne przejawy życia, skondensowanie zła we wszystkich możliwych postaciach, ułomność moralna i fizyczna — mamy to drażliwie pokazane w sztuce „Ostatni”. Optymistyczny, ale całkowicie niesprawiedliwy przez dalsze dzieje społeczeństwa, jest tylko tytuł utworu, w którym pod koniec nikt nawet nie tęskni do czegoś lepszego, nikt w nic nie wierzy. Klimat sztuki w niczym nie przypomina choćby dramatu „Nadzieja”.

Próbując ocenić stosunki, przedstawiane w takich utworach jak „Ostatni”, często sięgamy po termin „mieszczaństwo”. Ale ten termin, od lat najchętniej używany i nadużywany, przestał cokolwiek znaczyć. (Kto się zdołał na nowe określenie jego zawartości i na zdemaskowanie nadużyć, jeśli i w ocenie różnych przejawów życia współczesnego ma on mieć jakąś wagę?)

Sztuka nabrała ponurej wymowy dzięki dość dobranemu zespołowi wykonawców. Trudno tu kogokolwiek wyróżnić. Ale najbardziej, moralną kameleonowością najwyraźniej zaprezentował Ignacy Machowski. Iwan Kolomyjec, głowa rodziny. (Aczkolwiek tatus i jego starszy syn, kandydat na polemicznię, mogliby ujawnić w pewnych momentach także i swoją krogulczość).

Dlaczego to wszystko rozebrano we wnętrzu, doświadczenie przypominającym wnętrze cerkiewne, na to nie umiem znaleźć odpowiedzi.

Czy można mówić o doraznych pożytkach ze sztuki? O aktualnym „moralu”? No, można... Pierwszy, jaki się nasuwa, to ten, iż nasze dzieci — w różnym wieku — patrzy na nas. Biorąc jednak pod uwagę swoiste zafascynowanie młodymi w życiu publicznym i domowo-rodzinnym, nadskakiwanie i usprawiedliwianie wszystkiego, folgowanie zachciankom, wolałbym odwrócić zagadnienie: patrzy więcej i uważniej na nasze dzieci? „Co 23 chłopiec w wieku 17-21 lat skazany jest w Polsce wyrokiem sąjowym”, oznajmia właśnie Wilhelmina Skulska w „Kulturze”...

Ale sprawę zasadniczą dąłoby się sformułować inaczej: czy w rodzinie, której egzystencję warunkuje na przykład nadużywanie sytuacji społecznej i gospodarczej, można pozostać niewinnym?

Nie ulec śmiertelnemu zatruciu?

Stare to źródło rozmaitych konfliktów, znane dobrze literaturze, czyli i życiu. (Taki wielki przykład z wysokiego szczebla, bo ostatnio ukazują się różne edycje listów Krusińskiego, to chyba stosunki Zygmunta z ojcem Wincentym, sprzedawczykiem i zdrajcą).

A więc czy „mieszczaństwo”? Czy aktualne, dorazne moraly? Sztuka zasługuje na inne podejście, albowiem, nie należąc do wybitnych utworów Maksyma Gorkiego, pokazuje „coś grozącego ludzkości w ludziach”, niezależnie nawet od związków z określonym czasem historycznym.

Tym razem Katowice w kolejnym odcinku „Paragrafu i życia” powróciły do istotnych bolączek współczesnej cywilizacji, jakimi są zadymanie powietrza, zanieczyszczenie wód. Wypowiedzi nie wzbudziły nadmiernego optymizmu. Co do mnie, marzę o cyklu audycji, poświęconych naturalnemu prawu do ciszy, o której jeden z naszych pisarzy wyraził się, iż w niedalekiej przyszłości stanie się rzadkim przywilejem. Koszmarne perspektywa; myślę jednak, że i ten problem wreszcie dojrzeje w jakiejś komisji sejmowej, zostanie ujęty w ramy ustawy, na razie choćby prowizorycznej, gdyż prawo do ciszy, przynajmniej nocnej, powinno przysługiwać wszystkim, nawet tym, co na razie nie zdają sobie sprawy z doniosłości zagadnienia. Wymierność hałasu w decyzjach musi wreszcie znaleźć praktyczne zastosowanie!

Magazyn „Eureka” poświęcił odcinek wynikom czernostodniowego pobytu jednej z naszych ekip w jednej z naszych jaskiń. Audycja zapowiadała się zajmująco, kiedy jednak lekarz — Podpułkownik zaczął referować wyniki badań językiem ściśle fachowym.



wym, skądinąd łatwo przetłumaczalnym na język potoczny, wylączyłem telewizor. Kiedy wreszcie stanie się regularną, że prelegent TV nie będą mówić jak fachowcy do fachowców, bo najbardziej skomplikowane zagadnienia można, przynajmniej do pewnego stopnia, rozwijać w sposób przystępny.

Wiele lat temu byłem na spotkaniu z prof. Kotarbińskim. Najpierw usłyszełszy dłuższy referat o myśli filozofa. Nic z tego nie zrozumiałem. Gdy zabrał głos prof. Kotarbiński, wszyscy zrozumieli to, co on zechciał nam przekazać.

Panowie Gwidon Miklaszewski i Szymon Kobylński

wystąpił w kolejnym teletur-nieju „Asocjacje”. Dobrze będzie, jeśli przyjmie się w rozmaitych kregach towarzyskich ta świetna zabawa!

„Marchoń” gruby a srobnym” Jana Kasprzowicza, tragiczno-komedia nie pozbawiona rysów autobiograficznych, to poetyckie misterium o samotności człowieka, sprzecznociach jego natury. Przedstawienie poznańskiego Teatru Polskiego, wyreżyserowane przez M. Okopińskiego, arcy-słusznie pokazano telewizyjnie.

Dr W. Zin z Krakowa mor-wił tym razem o lesie i jego architekturze, o drzewach jako o ludzkich przyjaciółkach. Z żalem myślałem o zniszczeniu w Łodzi jedynej bulwarowej ulicy, jaką była Aleja Kościuski, która przecież szczęśliwie przetrwała wojnę. Audycja „Piórkiem i węglem” zdołała „Złoty Ekran” z czego jednakowo cieszyliśmy się jej wielbiciele: panna Zosia Bak, pan Malinik i piszący nie po raz pierwszy o niej.

„Studio 63” przypominało o trafnej inscenizacji i interpretacji, wzbogaconej o muzykę, poezję polskiego baroku: „Oczy są ogniem, czoło jest zwierciadłem” (z fraszki miłosnej Jana Andrzeja Morzyńskiego). Jednak w telewizji najwięcej znaczy słowo! Można się spierać najwyżej o dobór wierszy, w których przeważała frazka, wolałbym więcej liryki — choćby kilka fragmentów z dłuższych wierszy o znakomitej frazie, zawsze pulsującej głębokim wzruszeniem.

Jon Huszar

## DRODZY PANOWIE,

uprzejmie proszę o sprostowanie drobnego błędu, który wkraślił się do mego wiersza p.t. „Nike” zamieszczonego w ubiegłym numerze „Odgłosów”. Chodzi o słowo „brzy” zamiast słowa „przyczajonym”. Prawidłowo dwa wiersy, o które rozbiła się „młodnia” wiersza, powinny brzmieć:

do zawrotu głowy duszna  
pożądaniem przycajonym

Z szacunkiem  
Robert Głuch

## JAK ZAPRENUMEROWAĆ „ODGŁOSY”?

Zamówienia i preplaty na prenumeratę „Odgłosów” przyjmują oddziały i delegatury „Ruch” oraz urzędy pocztowe i listonosze w terminie do dnia 10 miesiąca, poprzedzającego okres prenumeraty. Cena prenumeraty wynosi:

|             |           |
|-------------|-----------|
| miesięcznie | — zł 4,-  |
| kwartalnie  | — zł 12,- |
| półrocznie  | — zł 24,- |
| rocznie     | — zł 48,- |

Informacji o przyjmowaniu prenumeraty i sposobie zamawiania udziela wszystkie placówki „Ruchu” i poczty.

Prenumeratę ze zniżką w wysokości za granicę, która jest o 40 proc. droższa — przyjmują Biuro Koloportu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia nr 23, tel. 20-46-88, konto PKO nr 1-6-100024.

## O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Erotyzm na ekranie to zagadnienie niezmiernie ważne dla kultury filmowej i bynajmniej nie proste. Przepojone są nim zarówno dzieła najwyższej klasy jak i zwykła kinowa szmirla. Czasem użyty tylko jako wabik dla niewybrednej publiczności, tandenty i wulgarny, może przybierać także formy bardzo wysublimowane, może być ważną częścią dojrzałego systemu filozoficznego wyłożonego przez twórcę. Temu skomplikowanemu zagadnieniu stawiającemu zawsze bohaterów filmowych w określonym systemie norm, wartości etycznych i odwołującym się niezmiennie do pojęć i oceny moralnej widza, zarówno krytycy jak i badacze naukowi poświęcają wiele uwagi. O erotyzmie filmowym piszą więc nie tylko liczne artykuły, poświęcone mu są także obszernie opracowania monograficzne. Rok temu czytelnicy polscy mieli

okazję zapoznać się z książką rozpratającą wylicznie te problemy. Był to „Świat bez grzechu” — Krzysztofa Teodora Toeplitza.

Powyższe stwierdzenia, jakkolwiek bardzo oczywiste, warto chyba uświadomić sobie co pewien czas wobec olbrzymiej fali erotyzmu płynącej niezmiennie z aparatów projekcyjnych ku ekranom. Oba filmy: „Kochanka” i „Niagara” recenzowane poniżej, poświęcone są niemal bez reszty tym problemom.

„KOCHANKA” Vilgota Sjömana, podobnie jak „Kochał” Jörna Donnera, należy do szkoły nowego filmu szwedzkiego, zajmującej opozycyjne stanowisko wobec nurtu, w którym naczelne miejsce dzierży od lat Ingmar Bergman. W filmach tego nurtu nie brak erotyzmu w jego fizycznej postaci, przeciwnie — są nim

przejęte. Dzieje się to jednak na tej samej zasadzie, na jakiej najbardziej realna, materialna rzeczywistość ruchomych fotografii tworzy film pełen mistycyzmu. Erotyzm tego klasycznego nurtu służy więc do stworzenia, do wyłożenia metafizyki płci. Nowa szkoła szwedzkiego filmu przedstawia się owemu mistycyzmowi i całej tej metafizyce. „Kochanka” podobnie jak film Donnera zajmuje się bez reszty seksualną stroną miłości i jej konsekwencjami w psychice bohaterów. Film Sjömana określa ponadto dokładnie, akcentuje pożyte społecznie prezentowanych postaci. Miłość przedstawiona w nim — jest niewola, od której niepodobna uciec, uczucie, które czyni człowieka istotą bezwolną, targaną panującymi nad nim namiętnościami. Jest nią okrutna, bo niszcząca. Jej zwycięstwa tak pełne są goryczy, cierpienia, że chcia-

łoby się czasem nazwać je klęskami. „Kochanka” jest więc opowieścią o koszarze miłości, którego przyczyną jest kobieta. To właśnie jej brak woli, niestałość, niewierność są źródłem zła. Ow mizoginizm, pesymistyczne ujęcie miłości jest wbrew założeniom nowej szwedzkiej szkoły filmowej tym, co łączy „Kochankę” z tradycyjnym nurtem skandynawskiej kinematografii i literatury. Dodajmy, że film pod względem warsztatowym jest doskonały — świetna prezentacja postaci, doskonale zarysowane sytuacje, dobre stopniowanie napięcia, znakomite wygranie ekspresywności najdrobniejszych nawet realiów. Jakkolwiek więc sama rzeczywistość przedstawiona w „Kochance” może trywać i budzić sprzeciw, nie sposób odmówić temu filmowi naprawdę dobrej klasy.



Całkowicie odmiennym typem filmu, choć również poświęconym niszczycielskiej sile miłości jest „NIAGARA”. „KOCHANKA” to dramat psychologiczny, film Henry Hath a w a y a — klasyczny kryminał: mąż, żona i ten i ten, morderstwo. A wszystko na tle malowniczej i przepięknie sfilmowanej Niagary. Erotyzm jest tu siłą, która prowadzi w filmie do zbrodni. Analiza ludzkiej psychiki jest tu jednak straszliwie powierzchowna. W „Niagarze” wszystko wygląda jak na widokowych reklamowych, jak na kolorowych prospektach turystycznych.

Chwyty zastosowane w tym filmie są niesłychanie ograniczone, prymitywne. Cała uwaga twórców skupiona została na budowie sytuacji tworzących nieskomplikowaną fabulę, a nie na człowieku, jego psychice. Ludzie są tu właściwie automatami, na chwilę ożywionymi modelami z rodzinnej fotografii „ustawionej” na tle największego wodospadu świata, a nie pomoże fakt, że najbardziej uroczym autorem jest piękna Marilyn Monroe, umalowana straszliwie nawet w łóżku, nawet pod prysznicem w łazience. Tandetność filmu nie jest też w stanie przysto-

niować. Właściwie najbardziej interesującą, powiedzieliabym jedynie, jest prowokacyjność erotycznej postaci odtwarzanej przez Marilyn, która choć skrzętnie przez cały czas ubrana, wydaje się — jak słusznie zauważył Bazin — bez przerwy naga. Doskonata jest ponadto pierwsza scena filmu — zdjęcie robione z góry, na masy wód spadające w dół i tworzące z bryzgów piany zwlewna tezę, a w dół — ledwo dostrzegalny człowieczek, gmerający się wśród skał. Zaraz jednakże natrętny komentarz psuje wrażenie owej sceny. Pro-

blematyki filmu nie zdołało pogłębić także i to, że Niagara uczyniono tu symbolem miłości. Dwa nieokreślone żywioły: wody i ludzkiego uczucia. Film jest — powtarzam — tak powierchowny, że aż nudny mimo swej malowniczości i kryminalnego charakteru. „Niagara” to typowy obraz hollywoodzkiej produkcji rozrywkowej, robionej pod publiczność, w imię kasowości, bezwartościowej pod względem artystycznym.

MARIAREL



# Kto, co, kiedy?

relacje  
niedyskrecje

## WYSTAWA OBRAZÓW BUFFETA

Znany francuski malarz Bernard Buffet (37 lat) od 1947 roku zawsze w lutym wystawia swoje dzieła w malarskiej galerii „David et Garnier” w Paryżu. Każda wysta-

Buffet malował je bez pomocy modelek. Mówiąc na temat swej obecnej wystawy malarz stwierdził: „Nagie ciała, obok kobiet, sa architektura, która poprzez wieki wciąż pozostaje tajemnicą”. Żona artysty, Annabel

Joyce'a. Następnie Elio Vittorini stał się znanym postępowym i antyfaszystowskim pisarzem przez swe powieści i opowiadania jak „Mata mieszczka”, „Kobiety z Mesyny”, „Erica i jej bracia”. W czasie drugiej wojny światowej Vittorini był członkiem włoskiego ruchu oporu.

W roku 1942 po przeniesieniu się do Mediolanu opublikował antologię postępowych, współczesnych pisarzy amerykańskich, udostępniając swym współziomkom dzieła Faulknera, Hemingwaya, Caldwell i innych.

Obok Alberta Moravii i Vasco Pratolliego, Elio Vittorini był jednym z najwybitniejszych współczesnych pisarzy włoskich.

## PRZEMYSŁ FILMOWY W TURCJI

Na ogół nie wiemy, albo bardzo mało o przemysle filmowym w Turcji.

Przemysł ten obecnie przeżywa ciężką próbę i nie wiadomo, czy w przyszłości wyjdzie z niej zwycięsko. Biorąc pod uwagę japońskie konsorcjum stara się usilnie w Ankara o prawo założenia na terenie Turcji sieci telewizyjnej. Przemysł filmowy zostałby tym poważnie zagrożony.

Turcja produkuje około 250 filmów rocznie. Jest to liczba wysoka zważywszy, że np. produkcja Hollywoodu wynosi 170 do 200 filmów w roku. Niemcy zachodnie produkują od 60 do 70 (przy czym połowa produkcji przy współpracy producentów zagranicznych), Francja ok. 140, również przy współpracy zagranicznej. Koszty produkcji filmowej w Turcji są jednak znacznie niższe niż w innych krajach. Mimo to trudno zrozumieć, że przemysł ten w ogóle może się opłacać. Kraj ma zaledwie 650 kin stałych, nie licząc niewielkiej, jak się zdaje, ilości kin ruchomych, wyświetlających filmy w koszarach i szkołach. W Turcji, która liczy 31 milionów mieszkańców, tylko 2,5 statystycznego obywatela kraju odwiedza raz w roku kino.

Metody przemysłu filmowego są tu dość prymitywne. Scenariusze się nie pisze, scenopisów nie sporządza. Aktorzy znają jedynie główny zarys akcji. Kręcenie filmu jest więc po prostu improwizacją. Po nakręce-

niu idą w ruch nożyce, tnie się taśmę, aby pozbyć się scen niepotrzebnych lub źle nagranych. Aktorzy zarabiają bardzo mało. Filmy podlegają surowej cenzurze, dość zresztą specyficznej. Ponieważ cenzorami są wyłącznie mężczyźni, okazują oni sporo tolerancji w stosunku do liczących w filmie tureckim scen erotycznych. Są jednak bardzo czuńni i surowi, gdy chodzi o przedstawienie na ekranie rodzinnego kraju, zwłaszcza wtedy gdy film ma być wyeksportowany. I tak np. wstrzymano wysyłkę za granicę filmu, jedynie dlatego, że ukazywał on w pewnym tureckim udrożeniu obok nowoczesnych budowli, stare, rozwalające się domy.

Młodych, eksperymentujących, nowoczesnie pracujących reżyserów da się w Turcji policzyć na palcach. I jeśli filmowy przemysł turecki ma wygrać walkę z telewizją, to jedyna jego szansa w tym, że młodzi filmowcy zdają sobie dobrze sprawę z tego, że trzeba koniecznie podnieść jakość tureckiego filmu.

## TYDZIEŃ RADZIECKIEJ KULTURY W LEEDS

Leeds, znany przemysłowy i uniwersytecki ośrodek w Anglii, gościł niedawno przedstawicieli radzieckiej kultury. Mieszkańcy Leeds zapoznawali się z radzieckimi filmami, muzyką i poezją. Poeta Siergiej Orłow, który brał udział w obchodach „Tygodnia radzieckiej kultury”, podkreśla na łamach „Literaturnej Gazety” serdeczność z jaką spotkała się w Leeds delegacja. Orłowa zaproszono m. in. na uniwersytet, gdzie studiował język rosyjski i literaturę rosyjską. Studenci, jak pisze Orłow, dość biegle posługują się w rozmowie językiem rosyjskim. „Nasz język — pisze radziecki poeta — wykładany jest nie tylko na uniwersytecie w Leeds, ale i w niektórych szkołach. Urządzone są też konkursy na najlepsze recytacje dzieł radzieckich poetów”.

## ŚMIERĆ GŁÓWNEGO OPERATORA FILMOWEGO

Giano di Venanzo, jeden z najlepszych operatorów filmowych, zmarł w Rzymie w wieku lat 45. Był on wielokrotnie nagradzany (ostatnio za zdjęcie w „Oslem i pół”). Współpracował następnie z Fellinim przy kręceniu filmu „Giulietta i duchy”. Ostatnio, od przeszło trzech miesięcy, był głównym operatorem przy realizacji filmu „Anyone for Venice”.

## TA, KTÓRA ŚPIEWA POEZJĘ

Béatrice Arnac występująca w Théâtre d'Essai et de Culture w Pa-



ryżu wzbudza wielkie zainteresowanie publiczności. Poezja francuska, która wywodzi się z pieśni średniowiecznych trubadurów, wraca w wykonaniu Arnac do swych najlepszych tradycji. Piękna Béatrice śpiewa, w pierwszej części swego występu, około dwudziestu poetyckich tekstów m. in. Rimbauda, Eluarda, Aragona oraz pieśni ze słowami Brechta i muzyką Kurt Weilla. W drugiej części swego programu Arnac wykonuje dwudziestominutową sztukę „Le Bel indifférent” którą napisał Jean Cocteau dla Edith Piaf. Śpiewanie poezji staje się obecnie we Francji modne. W numerze 51 „l'Humanité

Dimanche” znajdujemy artykuł pt. „Poesie et chanson” (Poezja i piosenka), w którym autor omawia wzajemny stosunek poezji i muzyki, wspominając Béatrice Arnac i Leo Ferre'a, który śpiewa wiersze Aragona.

## ŚMIERĆ HEDDY HOPPER

W wieku lat 75 zmarła w Hollywood dziennikarka Hedda Hopper, która w sprawach filmowych miała zawsze najlepsze informacje. Tylko niewiele gwiazd filmowych mogło nie liczyć się z jej opiniami. Hedda Hopper specjalną uwagę i troskę poświęcała młodym talentom i wiele aktorek i aktorów dzięki jej pochlebny recenzjom stawało się potem sławnymi. Hedda Hopper sama była niegdyś aktorką i występowała w ponad stu filmach. Później jako dziennikarka współpracowała z wieloma czasopismami.

## NAGRODA IM. MARYLIN MONROE

„Prix Marilyn Monroe” została w Paryżu przyznana za film „Niedziela życia”, zrealizowaną przez Jean Hermana według powieści Raymond Queneau. W jury zasiadali m. in. Marguerite Duras, Christiane Rochefort i Madeline Renaud.



Jeden z obrazów na ostatniej wystawie Bernarda Buffeta.

wa charakteryzuje się tym, że znajdujące się na niej obrazy Buffeta przedstawiają jakiś jeden określony motyw. W tym roku siedem obrazów, każdy o rozmiarach 3 na 2 metry, to wizerunki prawie nagich kobiet.

zaznacza: „Wystarczy tyłko spojrzeć, aby widzieć, że te kobiety nie są do mnie podobne”. Zastrzeżenia te wypowiada Annabel dlatego, że tematy obrazów na jednej z poprzednich wystaw była ona sama.

## ŚMIERĆ WIELKIEJ PIANISTKI

W lutym zmarła w Paryżu, po krótkiej chorobie, w wieku lat 91, wielka pianistka Marguerite Long. Urodzona 13 listopada 1874 roku w Nimes od wczesnego dzieciństwa uczyla się gry na fortepianie równocześnie z nauką czytania i pisania. Do konserwatorium uczęszczała w swym rodzinnym mieście. Mając 15 lat zdobyła pierwszą nagrodę Konserwatorium Paryskiego. Marguerite Long w ciągu swego życia, które poświęciła muzyce, była wykonawczynią utworów wielu współczesnych jej kompozytorów. Niejednego z nich znała osobiście i pozostawała w przyjaźni. Interesowała się również twórczością muzyczną kompozytorów romantycznych.

W roku 1943 utworzyła wraz ze skrzypkiem Jacques Thibaud „Konkurs Międzynarodowy” jej imienia. Pozostawiła szereg książek o charakterze pamiętnikarskim, w których zawarła wspomnienia o takich wielkich kompozytorach jak Fauré, Debussy, Ravel i inni.

## ZMAREK WYBITNY PISARZ WŁOSKI

W Mediolanie zmarł pisarz Elio Vittorini. Urodzony w Syrakuzach w roku 1908, w rodzinie kojarzonej, Elio Vittorini przeniósł się w roku 1929 do Florencji, gdzie był korektorem i współpracownikiem pisma „Solaria”. W tym też czasie pracował nad przekładami na język włoski dzieł Prousta, Lawrence'a i

# Notatnik KULTURALNY

## PONIEDZIAŁEK

Smętek duszę rozizawia i wczesna wiosna, i pora postna. Głowie popiołem posypać i dumać a wzdychać i o czymś tam marzyć, ale o czym?  
Pójść gdzieś, napić się kawy, zaszyć się w mrocznym kącie, otoczyć się kami dymu z dobrego papierosa, deszczu posłuchać grania, albo samego Chopina, nokturn albo preludium, albo sonatę mistrza zmarłego z tego grania i zranienia i muzykowania dla narodu, i pomyśleć: minęło 156 lat, gdy Fryderyk przyszedł na świat. Podróż o nieco i zaczął układać nuty po polsku i światowo. Do dziś ta muzyka świeża i zapach i kolor ten sam jak w Wiedniu i na Majorce. Może do Zelazowej Woli? Usiąść na ławeczce, posłuchać echa i cieniem długim, zaduma uczyć rocznie urodzin mistrza. W drogę! Nikt nie woła? Nikt nie woła.

## WTOREK

To tak się tylko mówi, w drogę. Człowiek osłabio-

ny po przebytej grypie (stad ta skłonność do okazywania wstrząsów) pojechał, czemu nie. Ale jak? Naprawdę na postój takówek. Dzielnica piękna, błoki, wiewońce — elegancko. Może by coś przegrzyć przed wyjazdem? Ale gdzie? Ani ci baru, ani ci nawet kawiarzani w pobliżu — nie. A taka piękna dzielnica. Rokiety. Nowe i nie. Trudno, ha. Na postój! Na te piękne panoramy nowoczesnych bloków takówek rząd. Grzeszną w błocie po same osie i ani drgną, gdy prósisz, żeby który wyjechał z błota. Nie wolno, mandrosi ob. Przebac mistrzu i wy wszyscy, których świetne proggi (muzea, teatry, wystawy — wszystkie przybytki sztuki) pokalam, jak wieśniak nieokrzesany, albo i okrzęsany tylko, że z dalekiej drogi — blokiem.

I pomyśleć, że tak niedawno, z okazji otwarcia wystawy plastik użytkowej, pisałem: Boć przecie wszystko na co patrzymy, dotykamy, odziewamy, rozdziewamy — to potencjalnie plastyka użytkowa. A co to jest plastyka użytkowa?

## ŚRODA

Z ostatniej chwili. Marlena Dietrich, wielka gwiazda estrady i filmu koncertuje w Warszawie. Pierwszy koncert — z okazji moich imienin — 27. II. 66 r. godz. 19.30 w Sali Kongresowej. Czuję, że Marlena nie zapomni o mnie. Oczywiście przyjdzie do Łodzi i cofnie. Proszę jednak tego nie rozstrząsać; nie burzyć naszego intymnego, małego świata.

## CZWARTEK

Tymczasem w Łódzkiem Muzeum Sztuki trwa remont. Mimo to, a może właśnie dlatego, chodzę do muzeum na nieprzerwanie organizowane filmy itp., wyświetlane filmy itp., bo wiem, „jak optymistycznie przypuszcza dyrektor Stanisławski — w końcu mają być już po wszystkim i muzeum zostanie ot-

warte dla publiczności”. Teraz jest już dla wszystkich jasne czemu tak gorączkowo chodzę do muzeum. Nie lubię tłoku. O wystawie Karola Hillera — zmarłego wybitnego łódzkiego malarza — później.

## PIĄTEK

Popioły mamy już prawie z głowy. Mówię oczywiście, nie o pokucie, tylko o filmie. Od razu uciechło, omiamało — nie ma problemu do dyskusji. Intelktualisci i eksperci od pracy mózgowej dubia tymczasem w zbiorach naukowych. Jednakże czas eisz jest czasem koncentracji, zbierania się w sobie, czajenia do skoku, do nowej dysputy.

Faraoni! Cóż za temat, coż za obszar historyczny, jakie luzy myślowe! Trzynastę dni (od chwili pisania niniejszego) i wydalenie wielkiej mary. Znowu narodowy nerw po-

lemiczny rozedrga jak struna skrzypiec Paganiego. Alez to będzie dyskusja! Nie tam jakas „Kochać”, albo o „Sposobie bycia”. Bo co, na ten przykład, można powiedzieć o „Sposobie bycia”? Ze sfrustrowane pokolenie, żubrow, na wymiaru — dwudziestolatki, przepraszam, dwudziestoroczniaki zagubione w dziejach? Pytam się czy to możliwe, żeby facet innego pokolenia, porzucony przez żonę, córkę i ciężko chore na serce zachowywał się przez szereg godzin niepoważnie, bredził bez sensu, a później umierał nagłe? Dyskutowane na ten temat co nieco. Przekonano mnie. To jest niewątpliwie problem pokoleniowy.

## SOBOTA

A w sobotę po robocie na wystawie, na wystawie w kulturalny Teatr Nowy. Towarzystwo. Przyjaciół Sztuk Pięknych sygnalizuje swoją działalność w Teatrze Nowym wytrwale, że chyba można uważać kulturalny za stały salon ekspozycji malarskiej. Trudno po kilku wystawach „złapać wiatr” i zorientować się w kierunku, który zarysowuje się w kulturalach. Jak dotychczas wszystkie wystawy obracały się w kręgu malarsstwa raczej nie awangardowego. Czy ten „profil” zostanie utrzymany trudno już dziś powiedzieć. Rzecz w tym,

że kulturaly stają się miejscem regularnych wystaw. O aktualnej wystawie Józefa Wasiołka, Bernard Kepler pisze tak: (fragment) „Wasiołek nie posiada jednak swojego barwnego schematu, swoich barwnych harmonii i przyzwyczajonych kolorystycznych. Wołi rozgrywać każdą rzecz od początku, szukając nawet w tych samych motywach czegoś nowego, czegoś na nowo odczutego. Zdejmuje się na żywił, podbudowuje go rozmysłem i powściągliwością. Pozwala sobie nierządno na brylantowość czy nadużywanie środków silnych wyrazowo — stąd najczęściej szeroko kładzona farba, wyrazista, niemal rzeźbiarska faktura, ekspresyjnie pojmowane kolory. Ale przez to wrodzona mu delikatność i łagodność staje się jakby bardziej wymowna.

## NIEDZIELA

Byłem na długim spacerze. Myślałem o pięknej i uroczej książce Romain Rollanda „Colas Breugnot”. Kto zna to arcydzieło, ten zrozumie, ten pojmie mój stan. W Rudzie Pabianickiej wypilem duże piwo z pianką.

Zalozda



# POLONICA

## JESZCZE O MROZKU

Niejednokrotnie pisałem w tej rubryce o sukcesach zagranicznych autora „Tanga”, będziemy z pewnością jeszcze wiele razy powracać do tego tematu. Dziś odnotujemy wydanie w serii dtv (zachodniemieckie wydawnictwo kieszonkowe) jego sztuki Striptease i satyr w jednym tomie, który ukazał się w grudniu ub. r. Jest to wielki sukces zważywszy, że tylko najpoczytniejsi autorzy ukazują się w takiej edycji. A oto reklamówka wydawcy: „Polska literatura powojenna może się wykazać szeregiem poważnych utworów. Jako pisarz teatralny Sławomir Mrożek ma już poza sobą powodny i elastyczny rozwój. Po sukcesie jego sztuki „Tango” w Polsce stał się reprezentantem polskiego teatru w tym stuleciu. W Niemczech ukazały się najpierw jego satyry. Zostały wysoko ocenione i otworzyły mu okno na świat. Dziś należy Mrożek do czołowych europejskich dramaturgów. Jego sukces nie ogranicza się tylko do Europy. Ameryka drukuje jego książki i wystawia sztuki. Zaczynają się nim interesować japońscy reżyserzy. W odróżnieniu od zachodniego teatru awangardowego, który proklamuje powszechny i ostateczny absurd, Mrożek przeciwstawia się temu, stawiając na człowieka i ta nadzieja możliwej poprawy jest przedmiotem dramatycznej materii”. Warto dodać, że tłumaczy go na obszarze jez. niemieckiego, Ludwig Zimmerer, a wydaje na prawach wyłączności Hensel Verlag.

## GOMBROWICZ, WIRTH I WIRPSZA W CZASO PISMIE „AKZENTE”

Bardzo poważny dwumiesięcznik literacki, ukazujący się w Monachium, w numerze 4, poświęconym esejowi, odtę blikiwał znakomity esej wybitnego krytyka szwajcarskiego Francois Bondy pt. „Witold Gombrowicz czyli pojedynki cieniów polskiego szlachcica”.

W numerze 5, poświęconym dramatom politycznym, A. Wirth pisze o recepcji dramatów Brechta w Polsce, a w numerze 6 znajdujemy opowiadania W. Wirpszy pt. „Dziecko” w przekładzie Herberta Zanda.

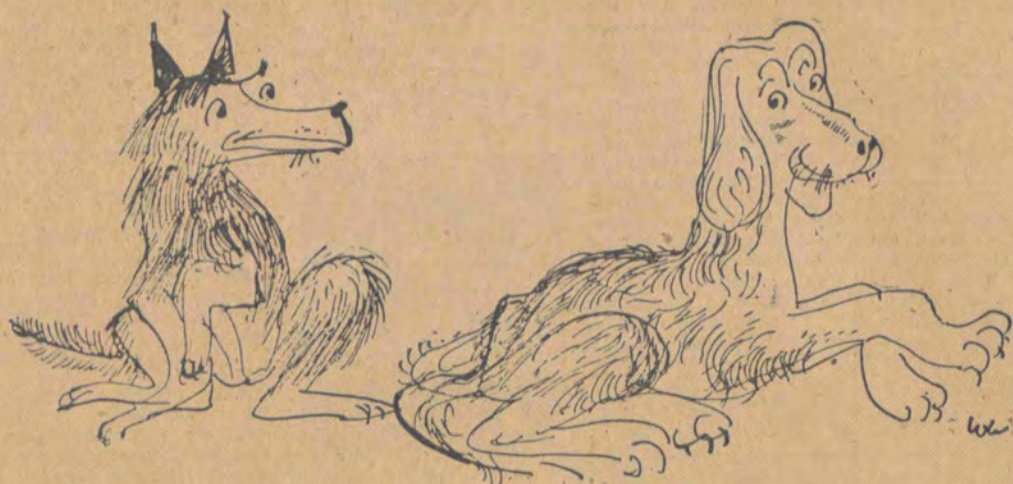
## ROSJANIE O WIENIAW SKIM

„Sowiecka kultura” w numerze 17 (z dn. 8. II. br.) zamieściła recenzję o wielkim koncercie, jaki odbył się w Moskwie, a był w całości poświęcony naszemu wielkiemu rodakowi — Henrykowi Wieniawskiemu. Koncert był przeładowany twórczością genialnego skrzypka. Na wstępie został wykonany „Pierwszy koncert”, następnie po fantazji na temat opery „Faust” Gounoda, odegrano na zakończenie sześć mazurków.

Autor recenzji, Igor Belza, przytacza w wielkim skrócie te części zyciorysu Wieniawskiego, która jest związana z po bytem kompozytorem w Rosji, jego wykładami w Konserwatorium Moskiewskim, oraz przyjeździ z wieloma rosyjskimi kompozytorami, z Rubinsteinem, a wreszcie o jego działalności profesorskiej w Petersburgu. „Utwory znakomitego skrzypka i kompozytora — pisze Belza — w ciągu prawie stu lat wchodzi do repertuaru prawie wszystkich wykonawców na świecie.

# POLONICA

Z teki  
WACŁAWA  
KONDKA



SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

- Dlaczego Stefan jest łysy?
- Z powodu trudnego dzieciństwa.
- Nie wierzy Pan?
- No to niech Pan posłucha:

Gdy Stefan był jeszcze chłopcem, nie cieszył się sympatią ani rodziców, ani rodzeństwa. Nie bardzo chciał się uczyć, był samotnikiem, arogantem, chodził jak kot, własnymi ścieżkami, rodziców nie słuchał, a z bratem i siostrami nieustannie się tłukł. Toteż wszyscy w domu traktowali go jako zło konieczne. Ciągłe „Stefek — leć tu, leć tam, przynieś, odnieś, podaj” — szturchnące a czasem kopniaki. Cała czarna robota spadała na Stefka.

Oj losie, losie! W domu był także pies — ulubieniec całej rodziny. Pies był jeszcze młody i trzeba go było co dzień regularnie wyprowadzać o szóstej rano na dwór. Obowiązek ten, oczywiście, spoczywał na Stefku. Nie raz go diabli brali, gdy wszyscy spali jeszcze w najcieplejszych łóżkach, a on musiał się zrywać, szybko ubierać i pedzić z psakiem na mroźne podwórko.

Parę razy próbował uwolnić się od tego obowiązku — ale rodzina tak go zakrzyżowała („Jeniu, łobuzie! Nicpo-niu!”), że nie próbował już więcej upominać się o trochę zrozumienia.

Stefek na zawsze naraził się rodzinie i wyrobił sobie „opinię”. Chęć nie chcąc wstawał co dzień wcześniej rano i wyprowadzał psa. Ale gdy tylko otwierał drzwi na klatkę schodową i wychodził z psem do sieni, sąsiedzi i sąsiadki z górnych pięter, idący do pracy, przystawali na chwilę przed pieskiem, pochylali się nad nim i gaskali go po głowie. Mówili: „Mój piesio! Piesiu! Pieseczku! Mordka kochana! Ciučko!” — i tak dalej na różne sposoby. Pies merdał ogonem — bardzo był zadowolony.

Ale Stefekowi za każdym razem robiło się przykro: jego psa holubia, a on dostaje tylko same kopniaki. Nikt się w pozytywny sposób nim nie zainteresuje. Wpadł więc na pomysł bardzo prosty i genialny: pomysł są zwykłe proste, aby jakos zrekompensować swój ciężki żywot.

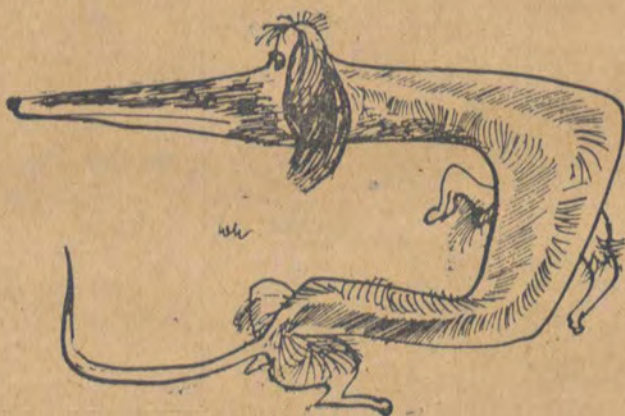
Otóż zaraz po wyjściu z drzwi swojego mieszkania stawał na czwora-

kach. Na schodach było ciemno, więc sąsiadki myśląc, że to pies, gaskaly go po głowie i pieszczotliwie nazywały: „Moje kochanie! Mój piesku! Pieseczku! Piesiatko! Piesenku!” i tak dalej, i tak dalej.

Głaszających dtoni zawsze było dużo (Polacy bardzo lubia psy) i Stefek powoli zaczął łysieć. Teraz, gdy już jest dorosłym Stefanem, zostało mu na głowie zaledwie dwadzieścia pięć włosków. Łysieje coraz bardziej, mimo, że sąsiadki już go nie gaskają.

Oj losie, losie!...

W. K.



PAN WŁADYSŁAW BARANOWSKI LANSUJE PARYSKIE MODELE MODY DLA PAŃ, ANNO DOMINI 1866, DO EWENTUALNEGO WYKORZYSTANIA (ODKRYTE W ARCHIWUM).



MODY PARYSKIE

Moda paryska



Moda wiosenna



Moda letnia

PRZECZYTAJ W TRAMWAJU \* PRZECZYTAJ W POCIAGU \* PRZECZYTAJ U DENTYSTY \*



Lewym  
okiem

UWAGA, EPIDEMIA!...

Człowiekowi potrzebne jest uznanie. Każdemu bez wyjątku. Ci, którym rzekomo absolutnie nie zależy na tym, żeby się komuś z jakiegokolwiek powodów podobać, pragną właśnie taką postawę zyskać sobie szacunek otoczenia. Nie zabiegają o względy ogółu, żeby być docenionymi przez szczególną grupę, której zdanie przyjęli za punkt odniesienia.

Bez aprobaty, bez potwierdzenia naszego działania przez większą czy mniejszą grupę ludzi, każde działanie zamienia się w koszmar. Profesor Szczepański ostrzegł dwa lata temu na łamach ówczesnej „Nowej Kultury” przed skutkami „epidemii przygnębienia”, spowodowanej „systematycznym odnawianiem uznania dla wysiłków”. Taki przygnębiony facet — czym bardziej wartościowy społecznie, tym właśnie podatniejszy na przygnę-

bienie — najpierw się martwi, potem górknieje, potem zaczyna pić. Nie ma żartów. To są autentyczne, sprawdzalne zjawiska.

Nie wolno stałe wymagać i wymagać. Nie wystarczy zapewnić pracującemu ciężko i z oddaniem człowiekowi ustawowego urlopu i niedziel, wolnej niekiedy od pracy. Nie wystarczy nawet płacić, chociaż zapłata powinna być wyrazem uznania.

Kilka kapitalnych stwierdzeń na ten temat zawierało podsumowanie dyskusji o kadrowcach pt. „Ludzie nie meble”, w „Polityce” sprzed roku. „Kar jest u nas o wiele więcej niż nagród” — pisała „Polityka”. „Wobec złego pracownika można zastosować całą gamę represji. Dla dobrych pracowników są mało zróżnicowane nagrody. Ich znaczenie jako zachęty do postępowania zgodnego z interesem przedsiębiorstwa jest minimalne. Nagrody przyznaje się nie za dobrą pracę, lecz z okazji 1 Maja, albo 22 Lipca. Podział odbywa się według zasady: skoro dostał na 1 Maja, nie może dostać na 22 Lipca”.

I dalej: „Nie ma racjonalnej polityki kadrowej bez systemu bodźców dopingujących pracownika, do wysiłku, do wykazania swoich możliwości. Często nagroda możliwa do uzyskania jest niewspółmiernie niska w stosunku do wysiłku i stąd ludzie wysiłków nie podejmują. Często zastanawialem się, jak pobudzić w ludziach inicjatywę? Okazuje się, że jedyny sposób zachęty, jaki po-

został, to poklepywanie po ramieniu i mówienie komplementów”.

Nic dodać, nic ująć. Może tylko to, że i komplementami nie szafuje się zbyt szczerze — oczywiście, w odniesieniu do pracowników, z którymi szeffa naprawdę nie wiąże oprócz stosunku służbowego. Są bowiem takie konstelacje, gdzie satelita satelicie wystawia laurki, trzeci kumpel daje wntosek, czwarty forszę, którą następnie sprawiedliwie i z dużym poczuciem wspólnoty transmituje się na różne formy konsumpcji.

Ambitnego człowieka (znam takich, słowo daję) mierzi i musi mierzić ciągle wywijanie nad nim mityczną „premią”. „Uderzymy was po premii”. „Inaczej nic z premii”. „Wejdziemy wam na premię”. To już nie płaca, należna za konkretne zadania (w założeniu, bo w praktyce — jakże trudne do skonkretyzowania), to łaska, którą byle urzędnik, siedzący o czko wyżej, uważa za wskazane szantażować kolegę „z terenu”.

Kolega z terenu ma żonę i dzieci. Nie obrazi się i nie podziękuję wyniośle za łaskę. Tylko nadkwasota w nim wrośnie, kark się zgarbi, uśmiech w grymas zamieni.

Meblom nie grozi epidemia przygnębienia, ale ludzie nie meble. Okazujemy szacunek dzielnym pracownikom i nie udawajmy, że wszystko jest w porządku, jeśli premia po wielu wstrętach i wydziwianach została jednak wypłacona.

CWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-75. Warunki prenumeraty: miesięczne 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zwraca rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUK „Ruch” — z zaznaczeniem: na „Ogłoszy”. Druki RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17. Zam. 557.11.66. E-11